

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 21 kwietnia 1917. Nr. 16.

Nowa ofenzywa na Zachodzie.



Widok zniszczonej wsi w obszarze walk pod Arras.

Organizacya armii polskiej.

Przełomowe chwile przeżywa obecnie Warszawa, a z nią i cała Polska. Jednym z najbardziej denerwujących momentów była nierozstrzygnięta sprawa Legionów i dalszych ich losów. Po ogłoszeniu manifestu z dnia 5-go listopada społeczeństwo polskie widziało w Legionach kadry przyszłej armii polskiej. Rozpoczęła się też gorączkowa praca przygotowawcza wśród polskich Legionistów, o której pisaliśmy już poprzednio. Powstały w Królestwie Polskiem legionowe obozy ćwiczeń, zorganizowano liczne kursy wojskowe, lecz Legiony nie przeszły dotychczas na etat niepodległego państwa polskiego i nie zostały oddane do rozporządzenia Rady Stanu, jak tego oczekiwał narod polski. Dopiero teraz zapadła ostateczna decyzya, oddająca Legiony do rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego, Beselera, na cele tworzenia armii polskiej. W tych dniach właśnie nastąpiło uroczyste ogłoszenie tego aktu.

Dnia 10. kwietnia w wielkiej sali posiedzeń na Zamku w Warszawie odbyła się uroczystość oddania Legionów na cele armii polskiej. O godzinie jedenastej przed południem w obecności niemieckiego generał gubernatora Beselera i austryackiego generał gubernatora Kuka zakomunikowano Tymczasowej Radzie Stanu, że Polski Korpus Posiłkowy został oddany generał gubernatorowi Beselerowi.

Tymczasowa Rada Stanu z marszałkiem Niemojowskim na czele obecna była w komplecie; prócz tego obecni byli przedstawiciele władz okupacyjnych, oraz przedstawiciele Legionów.

Generał-gubernator odczytał depeszę cesarza niemieckiego do marszałka koronnego. Depesza ta brzmi:

„Wielka kwatera główna, 9. kwietnia 1917 r.
Marszałek Koronny Niemojowski!

Waszej Dostojności i T. Radzie Stanu dziękuję za pełną zaufania prośbę, telegraficznie do mnie skierowaną, w sprawie wojska polskiego. W porozumieniu z moim Wysokim Sprzymierzeńcem, cesarzem Karolem, widzę w tworzeniu polskiego wojska najważniejszą podstawę pod budowę Waszego państwa i spodziewam się, że w krótkim czasie przy Waszym czynnym a silnym współudziale powstanie ono dla dobra Waszej Ojczyzny.

Wilhelm I. R."

Dalej odczytano enuncyacyę, skierowaną do Rady Stanu, a brzmiącą jak następuje:

I. Polski Korpus Posiłkowy oddaje się bezzwłocznie generał-gubernatorowi warszawskiemu, generałowi piechoty v. Beselerowi, aby, w myśl oświadczeń obu naczelnych komend, służył jako podstawa dla powstać mającego wojska polskiego.

II. Polski Korpus Posiłkowy tworzy w swoim obecnym składzie kadry polskiej armii.

Wyłączenie austryacko-węgierskich obywateli z polskiego wojska będzie przedmiotem późniejszych oświadczeń.

Następnie jen. Beseler udzielił głosu austro-węgierskiemu generał-gubernatorowi, zbrojmistrzowi Kukowi, który odczytał następujący rozkaz swego monarchy:

„Do Dowództwa Polskiego Korpusu Posiłkowego!

Dla celów wojska polskiego stawiam Korpus Posiłkowy Polski do rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego, któremu zorganizowanie wojska tego powierzono. Oddanie Korpusu następuje według umowy, zawartej między obu Dowództwami armii.

Okażcie się godnymi czasów wielkich, stanowiących o losach narodów, czasów, w których zmartwychwstało państwo polskie, jako przedmurze religii i kultury zachodniej, na żywot nowy. Wijcie świeży wieniec wawrzynu dokoła okrytego chwałą Orła polskiego. Oby Najświętsza Matka Boska Częstochowska osłaniała Was we wszystkich niebezpieczeństwach. Armia moja zachowa w wielu wspólnych bojach udowodnioną waleczność Waszą w wiernej pamięci.

Karol I."

Generał gubernator von Beseler odczytał w dalszym ciągu następujący rozkaz dzienny do komendy Polskiego Korpusu Posiłkowego, który to rozkaz bezzwłocznie ma być podany do wiadomości wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy:

„Na podstawie porozumienia Niemiec i Austro-



Nowa ofenzywa na Zachodzie: Ogólny widok miasta Saint Quentin nad Sommą, gdzie obecnie toczy się najzaciętsza walka.



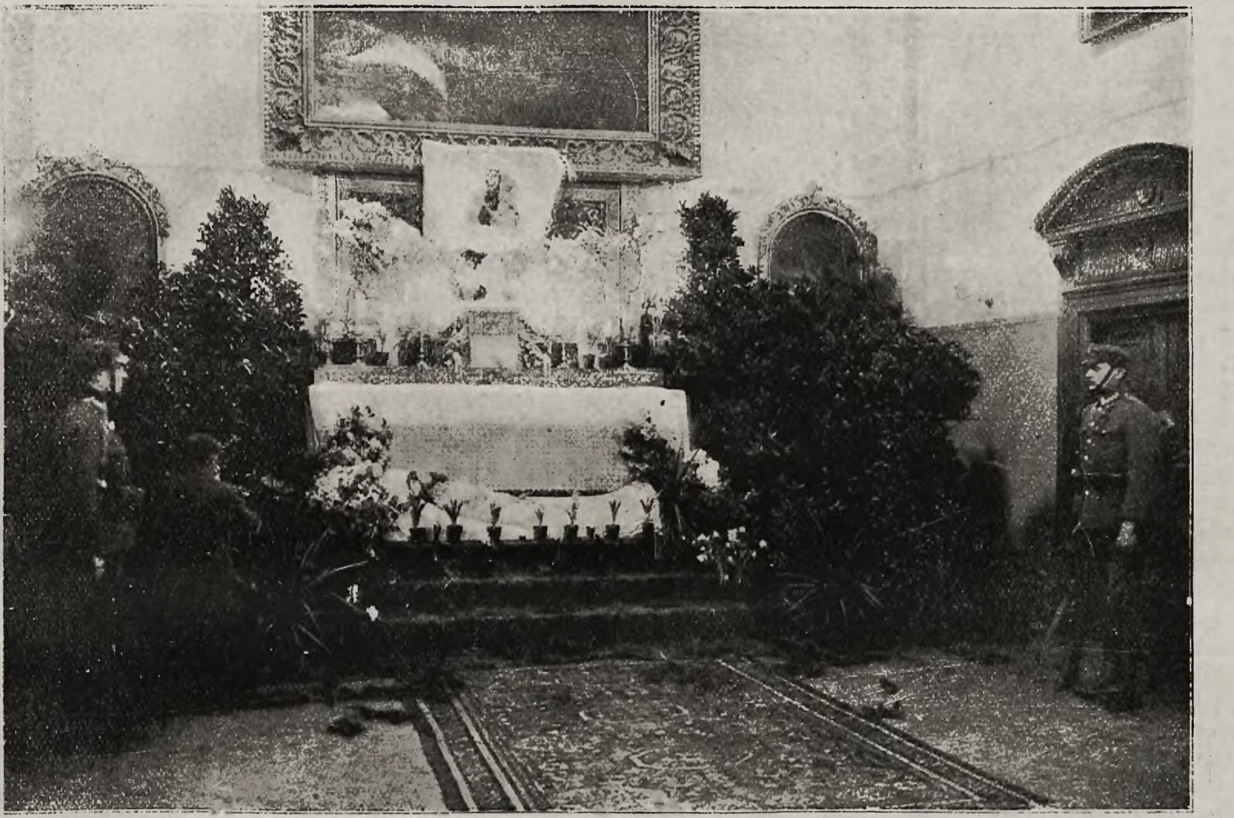
Organizacya armii polskiej: Uczestnicy kursu sztabowego dla oficerów Legionów wraz z niemieckimi instruktorami. (Fot. A. Dulęba, Warszawa).

Węgier ustępuje z dniem dzisiejszym Polski Korpus Posiłkowy ze składu armii austro węgierskiej i przechodzi pod moje rozkazy, aby, odpowiednio do życzenia narodu polskiego, przy współudziale Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego utworzyć kadry dla armii polskiej, która ma być bezzwłocznie utworzoną.

Polscy Koledzy! Teraz trzeba najpierw, zdala od pola walki, w wytrwałej pracy kształcić waszych rodaków na dzielnych żołnierzy, aby tym sposobem Ojczyzna Wasza, Królestwo Polskie, dostało w ręce narzędzie wojenne, któreby było godne pełnej sławy i tradycyi polskich wojsk dawnych czasów.

Liczę na Wasze posłuszeństwo i Waszą dyscyplinę i pozdrawiam Was".

Marszałek Koronny Niemojowski złożył w imieniu Rady Stanu obu generał-gubernatorom swe podziękowanie i zapewnił, że Rada Stanu na nowo utworzonej podstawie przy formowaniu wojska polskiego będzie współdziałać.



Święta w Warszawie: Grób Zbawiciela w kościele garnizonowym Legionów polskich w Warszawie przy ul. Długiej.



Uznanie niepodległej Polski przez Rosyę: Aleksander Lednicki, prezes ustanowionej przez rząd rewolucyjny Komisyi do spraw polskich.

Swięta w Warszawie.

Swięta Wielkanocne obchodzono w tym roku w Warszawie w daleko podnioślejszym nastroju, niż po inne lata. Dziś mamy już gwarancyę, że spełnią się nasze pragnienia, dla których dziadowie i ojcowie nasi krew ofiarnie przelewali, że zmartwychwstanie Polska, wolna i niezależna!

Obchodząc uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, mimowoli zwracano się myślą i w stronę Ojczyzny, która po stuletniej przeszło niewoli kruszy swe pęta i powstaje z grobu, wykopanego ręką najeźdźcy... Sympatye ogółu kierowały się też w tym czasie i w stronę tych, którzy głównie do tego się przyczynili, to jest Legionistów. Kościół ich garnizonowy, w którym przy Bożym Grobie pełnili straż honorową polscy żołnierze, był też celem pielgrzymek dla całej Warszawy, nie mogącej się nacieszyć tym, nieznanym dotąd dla niej widokiem.

Niejedno gorące westchnienie uleciało przy tej sposobności ku niebiosom, by skołatanemu tylu wypadkami i nieszczęściami narodowi wyprosić lepszą przyszłość...

Kościół garnizonowy Legionów polskich w Warszawie znajduje się przy ulicy Długiej. Pierwotnie należący do Unitów, zabrany został przez Moskali i zamieniony na cerkiew prawosławną, obecnie, po rekoncyliacyi, oddany został na użytek przyszłemu wojsku polskiemu.

Ameryka po stronie koalicyi.

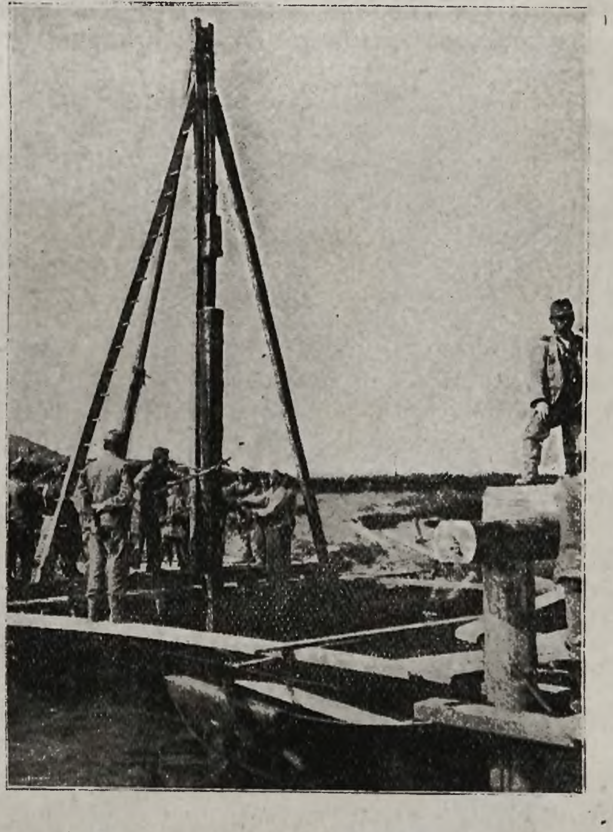
Stany Zjednoczone, które faktycznie od początku wojny popierały państwa koalicyjne, stanęły otwarcie po ich stronie. Cała Ameryka (bo do Stanów Zjednoczonych przyłączyły się republiki południowo-amerykańskie) znajduje się obecnie w stanie wojennym z państwami centralnemi. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Niemcami i Austryą, Stany Zjednoczone nie tylko skonfiskowały przebywające w portach amerykańskich okręty niemieckie i austryackie, ale szykują się do dalszych kroków wojennych. Jak donoszą telegramy, senat w Waszyngtonie przyjął pierwsze przedłożenie o kredycie wojennym, oddające prezydentowi Wilsonowi przeszło sto milionów dolarów na cele wojenne. Jaki zaś ma być plan wojenny Stanów Zjednoczonych, streścił to Wilson w swem oświadczeniu, wygłoszonem na posiedzeniu Senatu.

W oświadczeniu tem zaznaczył, że armia regularna i gwardya narodowa mają być postawione na stopie wojennej. Pierwsze pół miliona ma być natychmiast uchwalone. Pobranie dalszego miliona nastąpi według potrzeby. Rekrutacya do armii regularnej i gwardyi narodowej ma być ochotnicza. Siły potrzebne ponadto będą pobrane przez rekrutacyę mężczyzn do lat 25. Stany w stosunku do liczby swej ludności dostarczą rekruta.

Dalszy plan wojenny, wypracowany przez rząd Stanów Zjednoczonych, obejmuje: użycie okrętów wojennych we wspólnej akcyi z sprzymierzonymi, dostarczanie amunicyi, zaliczka trzech miliardów dolarów dla sprzymierzeńców, których zaprowiantowanie ma być również zapewnione.

Rzecz jasna, że Stany Zjednoczone starać się będą o zaznaczenie swej akcyi przedewszystkiem na widowni morskiej. Koalicya ma nadzieję, że północno-amerykańska flota dopomoże jej do usunięcia niebezpieczeństw, jakie wytworzyła zaostrzona walka łodziami podwodnemi. Więc mają być użyte do tego celu własne krążowniki Stanów Zjednoczonych, jakoteż, po stosownej przeróbce, okręty handlowe Niemiec, zajęte w portach amerykańskich.

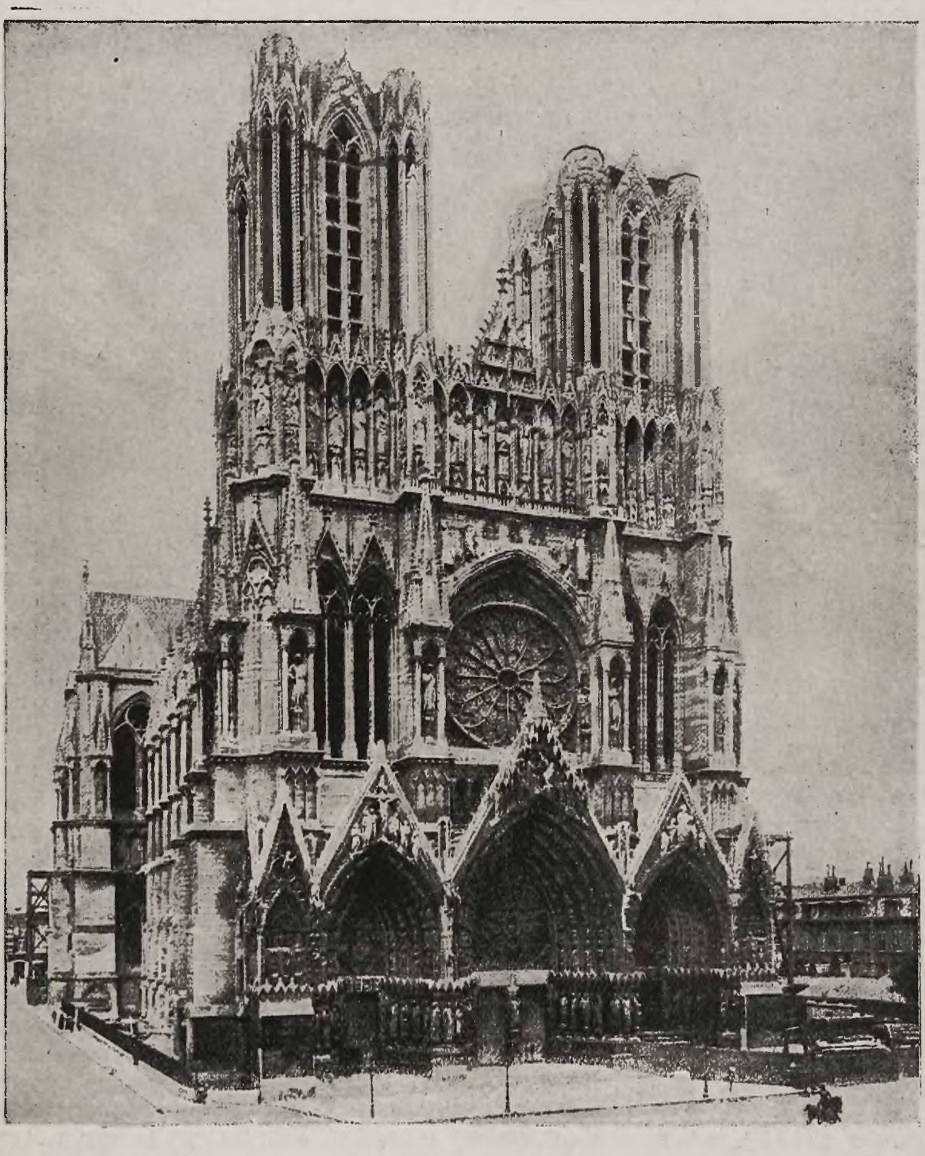
Wstąpienie Stanów do zastępu sojuszników czwórporozumienia ustala jeden z głównych rysów dzisiejszej wojny. Skrystalizowała się ona ostatecznie jako pojedynek rasy germańskiej z anglo-saską.



Z frontów bojowych: Budowa mostu na Wołyniu



Nowa ofenzywa na Zachodzie: Plac targowy w Arras z starożytnymi domami patrycyatu tamtejszego.





Nowa ofenzywa na Zachodzie:

Słynna katedra w Reims ocalała prawie cudem wśród gruzów miasta.

Ruiny kościoła w Neuville (nieopodal Arras).

Uznanie niepodległej Polski przez Rosyę.

W poprzednim numerze zamieściliśmy już tekst odezwy tymczasowego rządu rosyjskiego, w sprawie proklamowania niepodległej Polski, a dziś podajemy w rubryce „Z tygodnia" uchwały wiecu garnizonu petersburskiego, wypowiadające się również za wskrzeszeniem niepodległego państwa polskiego.

Jednocześnie z proklamacyą niepodległej Polski rząd rewolucyjny ustanowił specyalną komisyę, która ma się zająć wszystkiemi sprawami, związanemi z odbudową państwa polskiego. Prezesem tej komisyi został Polak, znany działacz i polityk, poseł do Dumy Lednicki, którego portret zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Nowa ofenzywa na Zachodzie: Katedra w Saint Quentin uszkodzona silnie pociskami w czasie ostatnich walk.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

29

Kilku chłopów ze Skowronkowic zdjęło czapki w ukłonie. Pisarz, młody, zgrabny mężczyzna, ze świeżą i dość przystojną, ale dziwnie bezczelną i zuchwałą twarzą, uchylił lekko swojej sportowej czapeczki, niedbale odpowiadając na pozdrowienie.

Grinszpan, na widok pisarza i Sojkowej, wyskoczył zza bufetu i podbiegł ku wchodzącym.

— Jakie goście!... Co za goście!... Czerwoną kredą w kominie taki dzień zapisać... Moje uszanowanie panu sekretarzowi! Moje uszanowanie pani Sojkowej! Może państwo pozwolą do gabinetu?... Tutaj gorąco, zaduch...

Cały w uśmiechach i ukłonach prowadził ich przez izbę. Pisarz palił papierosa z taką miną, która świadczyła wymownie, że się czuje nieskończenie wyższym ponad wszystkich obecnych. Franka stąpała dumnie i hardo podnosiła głowę w wielkim kapeluszu z piórem i kwiatami, pyszniła się swoją spódnicą, układaną w modne fałdy i żakietem z wytłaczanego pluszu. Idąc, głośno stukała o podłogę nowymi, jasnożółtymi półbucikami na wysokich obcasach.

Kilkanaście par ciekawych oczu ścigało tę parę.

— Jak się to Grinszpan kole Franki kręci, jak się to jej kłanio!

— Bo chce, żeby grunt jego teściowi przedała! Niech przedo... bedzie ją miał później za co!...

— Pewnikiem za dziewkę ją zgodzi, żeby mu w szabas w piecu paliła!...

— Skończy ta Franka, oj, skończy!... Nie daj, Panie Boże, nikomu poczciwemu takiego końca!

— Ale i ten pisarz... Taki pan, a na złe namawia!...

— Zwyczajnie, jak chłop!

— Ale, że go do wojska nie wzieni! Taki młody, zdrowy chłop.

— Nie wicie? Przecie on „lekramowany", jako niby urzędnik we gminie potrzebny jest.

— A mój, to mnie nie był potrzebny? A nikt go ta nie „lekramował"!

Grinszpan wraz z pisarzem i Franką zniknęli poza drzwiami izby, szumnie nazwanej „gabinetem". Był to rodzaj alkierza, przeznaczonego dla wybranych gości. Stała tam jakaś olbrzymia szafa, stół, nakryty zmiętym, poplamionym obrusem i czarna, ceratowa, wygnieciona kanapa, z której tu i ówdzie wyłaziło włosie.

— Co państwo sobie życzą? — zapytał z najmilszym uśmiechem Grinszpan.

— Dwie harbaty — oświadczył skromnie pisarz, ale Franka dysponowała dalej:

— Do herbaty rumu, ale, żeby był mocny i pachnący, dwa piwa, dwa gulasze, no i wódki. Tylko czy jest co porządnego? Żeby nie była prosta gorzałka! — dodała, usiłując przybrać minę i ton osoby, nie nawykłej do zadawalania się byle czem.

— Dla państwa się znajdzie... nawet się znaleźć! Ja sam naleję i przyniosę... coś „extrafajn".

Cmoknął językiem i wyszedł. Za chwilę powrócił z tacką, na której stała karafeczka, pełna wódki i trzy kieliszki.

— To jest śliwowica „echt". Co to za śliwowica!... Takiej sam pan starosta nie pije!... I ja za to nie chcę żadne pieniądze... to jest mój poczęstunek dla godne goście, dla godne osoby...

— No, w twoje ręce, panie Grinszpan! — zawołał pisarz, nalewając wódkę do kieliszków.

— Na zdrowie!

Wypili raz, drugi i trzeci, przyczem żyd bardzo zręcznie wylał swoje kieliszki pod stół. Wódka była istotnie dobra i mocna. Oczy pisarza zaczynały błyszczeć, a Franka dostała mocnych rumieńców.

Grinszpan przysiadł się i nawiązał rozmowę.

— Pani Sojkowa, ja pani potrzebuje pogratulować!

— A czego?

— Ja słyszał, co pani robi doskonały interes, pierwsza klasa interes!

— Niby jaki?

— Jak to, jaki?... Pani podobno za dobre pieniądze, za bardzo dobre pieniądze sprzedaje tę starą chałupę i ten grunt, co w niego więcej roboty i pieniędzy wlezie, jak z niego pożytku jest.

— To ta jeszcze niepewna rzecz — odparła jakimś wahającym głosem Sojkowa.

— Co niepewna? Dlaczego niepewna? To jest bardzo pewny, to jest złoty interes!... Jego trzeba chwytać, bo on może uciec!

— Kiedy to, widzi pan Grinszpan, są dzieci...

— Co to znaczy dzieci? Jak pani te dzieci na gruncie wyżywić nie może, to pani sprzedać musi! Czy one mają z głodu umierać i pani z nimi?... A dobry adwokat, mądry mecynas, to na wszystko radę znajdzie...

— Tak, tak! Dobry adwokat dużo może, wszystko wykręcić umie, na tę albo inną stronę — wtrącił sentencyonalnie pisarz, chwytając wzrokiem porozumiewawcze mrugnięcie Grinszpana.

Franka milczała, nagle zasępiona jakaś. Może lęk ją zdjął przed tą przyszłością niepewną, bez własnego dachu, bez kawałka własnej ziemi. Może budził się w niej zdrowy chłopski instynkt i ostrzegał...

Grinszpan zdawał się przeczuwać jej myśli i wahania, bo ruchliwa twarz jego drgała silniej, a żywa gestykulacya stawała się więcej nerwową.

Tymczasem chuda dziewczyna z pretensyonalną grzywką i z cerą pełną krost i liszai przyniosła piwo, gorący gulasz, herbatę i rum.

Pisarz zachęcał do picia; wkrótce wypróżniono kufle, a na ich miejsce pojawiły się świeże, pełne.

Franka piła piwo, potem rum, wódkę, a potem znowu piwo. Alkohol działał na nią. Odzyskała humor. Śmiała się wrzaskliwie, błyskając białymi zębami z poza grubych, czerwonych warg, rzucała ordynarne dowcipy, zaczynała śpiewać operetkową aryę, z której znała tylko dwie pierwsze zwrotki, poufale trącała pisarza:

— No, pijże pan! Pij pan, mówię!.. Ja płacę, ja funduję! Czy mnie to nie stać na to!

— Coby miało nie być stać — podchwycił natychmiast Grinszpan — a jeszcze jak pani ten złoty interes zrobi, to będzie stać dwa razy tyle!... Pani potrzebuje dużo pieniędzy! Czy to dla takie młode, ładne, delikatne kobite los jest siedzieć w chałupie między chamami?... Co pani tam wysiedzi? Biedę z nędzą! Czy ja dobrze mówię, panie sekretarz?

— Słowo honoru, Grinszpan słusznie mówi. Co za przyjemność męczyć się ciągle z krowami, ze świniami i z gnojem. Fe!...

— Widzi pani, co pan sekretarz jest tej samej myśli, co i ja!... Pani to może sobie poszukać męża pomiędzy „eliganckie", edukowane panowie, a nie żadne Kuby i Bartki! Taka ładna kobite...

— Grinszpan ma racyę, to nie dla takiej kobiety!

Zasłyszane komplementy silniej jeszcze upajały kobietę, niż wódka i piwo. Bujne jej piersi falowały silnie, w oczach migotały niezdrowe błyski, wargi drżały febrycznie.

A Grinszpan ciągnął dalej:

— Te wiejskie baby, te głupie baby, to ja wiem, one będą panią Sojkową odmawiać, straszyć... a dlaczego? Bo one są zajzdrośne! One chcą, żeby pani Sojkowa sobie los nie poprawiła, żeby nie miała lepiej, jak one!...

— A niedoczekanie ich! — Franka gruchnęła pięścią w stół, aż podskoczyły i brzęknęły szklanki i talerze. — Co im do mnie? Co zechcę ze swojem, to zrobię! Właśnie, że przedam!... Ma ten hadwokat przyjeżdżać, to niech przyjeżdża i interes robi! Na mojem będzie! Dla mnie świat otwarty!

— To jest mądre mówienie! To jest złote słowo! Te głupie chamy, to się wścieknią ze złości!...

— A niech się ta wścieknią i jak psy wyć zaczną! — wołała rozochocona Franka. — Panie, pij pan!...

Łokciem wsparła się na kratkowanej kamizelce pisarza, który coraz bliżej się ku niej przysuwał. Grinszpan dyskretnie wysunął się z alkierza, starannie zamykając drzwi za sobą.

— — — — — — — — — — — — — — —

— A to ci kobiecko!

— I to już na pewne?

— A jakże! Ten hadwokat ma jutro przyjechać, będą robić „rozporządek" o dzieci, a później „kontrak"!...

— Mój Boże! Żeby to choć swojemu przedała! Ale takiemu żydowi, jak Wajkrat, coby ostatnią skórę z człowieka zdarł!

— Kie ona u niego w kieszeni po szyję siedzi... Pożyczoł, pożyczoł, ona traciła i uzbierało się!...

— Tak to, mojaście, jak kto sobie pozwoli, to zeżre i z dwoch roli!

— Ale to jeszcze nie wszyćkie nowiny... Pono Sobusiacka także grunt przedawała będzie jakiemusi Czecnowi czy Miemcowi! Ten sam hadwokat jej go narail i jenteres poprowadzi...

— A jak ona może przedać, kie mąż w niewoli?

— Może, bo grunt na nią przepisany!

— To się tu „niepilaków" nabiere!... Rychło poczekać, to i nas wszyćkich wygnają!

— Zaroz! Dałabym się wygnać! Niech mnie ino kto spróbuje ruszyć!...

— Ale co to za hadwokat taki? Pewnikiem też żyd!

— Gadają, co nie, co bardzo godny pan i katolik...

— I z Wajkratem trzymo?

— Ano, musi mu Wajkrat dobrze smarować, a nie wiecie to, że powiadają i pirwszy ham, jak sam!

— Oj, te dzieci, te biedne dzieci! Ino mi tych żal!...

— Nad kim się tak użalacie, gosposiu? — zapytała Hela Lidzińska, która, przechodząc właśnie przez sień, słyszała rozmowę Dorulowej z sąsiadką.

— A to, proszę pani nauczycielki, ta Franka Sojkowa, ta pijaczka, „lofer", utratnica, grunt i chałupę przedawała będzie!

— Komu?

— A temu Wajkratowi, co karcmę trzymo i jajkami i masłem i wszelemjakim towarem handluje! Temu zdzirusowi, co se każe po osiem szóstek płacić za liter nafty!

— A cóż z dziećmi? Przecież tam jest ich część!

— Jutro ma przyjechać umyślnie z Krakowa hadwokat i taki „rozporządek" zrobić, że Franka dzieci obżywić i okryć nimoże i przez to przedać musi... Ale bo to prawda? Przecie zasiłek biere i gruntu jest szmat dobrej ziemi i to przy samym, przy samiutkim gościńcu! Żeby to ona robić chciała, nie pić i grosza nie rozpuszczać, toby się i śpiewający wyżywiła i jeszcze jaką koronę do kasy zaniosła!

— Zawsze była nicpotem dziewucha... Jak jej czternaście roków było, to na kawalirów patrzyła. Obraza Boska! Wiadomo, matka do roboty nie naganiała, nie przykarciła, jak potrza, bo i sama rychtyk tako była... Za dołami świeci górka, jako matka, tako córka — dodała, sypiąca jak z rękawa przysłowiami sąsiadka.

— Pójdą te dzieciska na marne, pójdą! Zjedzą je wszy po cudzych kątach, a pani matka bedzie se w Krakowie abo ka indzi „panować"...

— Skończy się to panowanie, ino niech ten cent przeńdzie!... Będzie się po służbach żydowskich potyrać, abo i co gorszego ją potka! Od tyczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka, potkała go szubieniczka! Najgorzej zacząć!...

— Jakto! I nikt temu nie przeszkodzi? — zawołała Hela. — Taki piękny kawał ziemi w obce ręce i to jeszcze takiego wydrwigrosza, lichwiarza, wyzyskiwacza! I dzieci... Ależ ją powinno się ogłosić marnotrawną, wziąć pod kuratelę!

— Ino kto to zrobi i jak?

— Wystarczy kilku świadków, którzy zaprzysięgną!

Dorulowa wzruszyła ramionami.

— E, ktoby ta z Franką zadziroł! Ktoby się narażoł! Ady każdemu spokój miły... To dyabeł, nie baba! Chałupę jeszcze podpalić zdole, abo kamieniem dziecko ubić! A dy, wicie, ona Liskowej Jewce, za to, że jom przy ludziach napominała i karciła, to głowę butelką rozbiła!

— Może to i lepiej, że se ze wsi pójdzie, bo tako parszywo owca inne zaraża! Już się i Sobusiacka na nią podała... Już ona ziakiety se sprawio, po szynkach pije, z kawalirami się wodzi i grunt przedawać chce tym jakisi Czechom czy Miemcom!

— To jeszcze jedna?

— A jeszcze jedna, panienko! Ten sam hadwokat jenteres prowadzi... Muszą mu ta smarować, muszą, kie mu się chce umyśnie z Krakowa zjeżdżać!

— Podły, niegodziwy człowiek! — oburzała się Hela, a oczy jej uniesieniem błyszczały. — Takiemu warto choć prawdę w oczy powiedzieć!

— Kto mu ta powie — rzekła posępnie Dorulowa. — Złe się dzieje, złe... Jakieś złe idzie na naszą wieś!

— Nie gadojcież próżniaków... Złe się dzieje takim, co ich wiejski chleb w ząbki kłuje, a w palicach do roboty lenia mają! Takim nierobiśkom, jak Franka, Wikta Sobusiacka... Kto się Boga boi, do roboty wstaje, ten się ni djabłowi, ni biedzie daje! Mało się to Wajkrat koło Kopkowej natańczył, mało ją nastraszył, a wygroł, wicie, na fujorce! Ino nie trza dawać smaku, a trza bić do saku! Ot, co...

— — — — — — — — — — — — — — —

— Ojciec tutaj? Jakim sposobem?

— Najprostszym w świecie! Przyjechałem pociągiem.

— Oczywiście, ale...

— Cóż cię to tak dziwi? Chciałem cię odwiedzić!

— Tak, umyślnie?...

— Cóżby w tem było tak nadzwyczajnego? Chcieliśmy wiedzieć, jak się urządziłaś!... Matka jest trochę niespokojna... niewesoła... Przywiozłem ci od niej paczkę... Jakieś fatałaszki kobiece...

Hela nieufnie spoglądała na ojczyma, który idzie obok niej, ostrożnie stawiając nogi w błyszczących amerykańskich butach po lepkiem błocie gościńca. Dziewczyna nie dowierza tej nagle zbudzonej troskliwości. Dziwi ją też ton niezwykłej uprzejmości i ży-

czliwości. Wszak dotychczas panował między nimi zawsze wrogi nastrój. Mówili ze sobą rzadko, a jeżeli kiedy przychodziło do jakiejś wymiany zdań, to napewno padały ostre, nieprzyjazne słowa. Hela była nazbyt szczerą, aby ukrywać swoje usposobienie względem ojczyma, a Benert odwzajemniał się jej równie silnem uczuciem nienawiści. Nie lubił patrzyć na Helę. Może jej piękna twarz, tak żywo rysy ojca przypominająca, budziła w nim wspomnienie niemiłe i drażniła, jak wyrzut sumienia.

Dzisiaj jednak Benert zdaje się nie pamiętać o tem wszystkiem. Zachowuje się tak, jakby harmonia pomiędzy nim a pasierbicą nie była nigdy zamąconą najlżejszym nawet dyssonansem. Uśmiecha się przyjacielsko i z pod ciężkich, sinawych powiek, przysłoniętych szkłami w złotej oprawie, przygląda się Heli trochę badawczo, ale jednocześnie jakby dobrodusznie. Mimo to w mózgu dziewczyny powstaje jakieś nieokreślone podejrzenie...

— Czego on chce od niej? Po co tu przyjechał?

— Czy ojciec ma może jakiś interes w tych stronach do załatwienia? — rzuca po chwili pytanie.

— To jest... właściwie tak!... Załatwię przy sposobności jedną drobnostkę... ale głównie chodziło mi o to, żeby cię odwiedzić!

Hela lekko wzrusza ramionami; nie wierzy.

— Jakże zdrowie mamy? Jak się ma Lila?

— Dziękuję ci! Zdrowe są obie. No, o twoje zdrowie pytać nie potrzebuję... Wyglądasz doskonale i... muszę ci to powiedzieć szczerze: pięknie. Służy ci widocznie wieś i ta samodzielna praca, do której się tak rwałaś.

Benert zaczyna, nie wiedzieć dlaczego, śmiać się, a Helę przenika zimny dreszcz od tego śmiechu. Jest jej tak, jakby ją za chwilę miało spotkać coś złego. Panna Lidzińska milczy. Rozumie, że powinna coś mówić, pytać więcej o matkę, o siostrę, opowiadać coś może. Wie jednak, że cokolwiek powie, będzie to wymuszone i nieszczere, pocóż więc mówić.

— Jakże czujesz się tutaj na wsi, w szkole?

— Dziękuję, zupełnie dobrze.

— Słyszałem, że z ciebie wielka działaczka. Prowadzisz pracę oświatową wśród chłopów.

— Źle ojca poinformowano. Nie jestem wcale żadną działaczką! Robię poprostu, co do mnie należy i koniec!

— Jesteś skromna. Podobno jednak masz duży wpływ na tutejszych chłopów. Ufają ci.

Szybkie, przenikliwe spojrzenie biegnie ku Heli z pod połyskujących szkieł.

— Nie wiem.

— Z dworem utrzymujesz stosunki?

— Tak.

— To dobrze, to bardzo dobrze. To jest odpowiednia dla ciebie sfera towarzyska. Ludzie bogaci i wpływowi. Z takich znajomości zawsze skorzystać można.

— Nie mam zamiaru korzystać!

— No, nie mówi się przecież o tem, żeby bezpośrednio korzystać, ale tak, coś, kiedyś, przy sposobności... w przyszłości... Mniejsza zresztą z tem. Czy państwo Walczakowie są młodzi?

— Młodzi.

— Czy mają zamiar stale mieszkać w Zalesinkach?

— Nie wiem, nie pytałam ich nigdy o to.

— Mogło się zgadać samo przez się. Czy Zalesinki są przepisane na nazwisko pani Walczakowej, czy też prawną właścicielką jest jeszcze jej ciotka, pani Wolska.

— I o tem nic powiedzieć nie mogę.

Hela odpowiada coraz niechętniej. Pytania zaczynają ją niemile drażnić.

— Co jego to właściwie wszystko obchodzi?

— Czy ojciec długo zostaje?

— Tylko kilka godzin. Muszę być jeszcze dzisiaj w T...

— Aha! Więc on w T. ma jakiś interes, ale poco wstąpił do Zalesinek? Przecież nie z tęsknoty za mną — przemknęła Heli myśl.

— Zaprosisz mnie sądzę, Helu, na obiad.

— Oczywiście, proszę, tylko wątpię, czy ojciec będzie zadowolony... Jadam skromnie, po wiejsku, prawie po chłopsku...

— Nic nie szkodzi! Nie jestem wybredny. Jeżeli masz mleko i jajka, to wystarczy.

Hela nie może powstrzymać uśmiechu, który jej mimowoli wybiega na usta. Po raz pierwszy słyszy o tem, że ojczym nie jest wybredny w jedzeniu. Pamięta bowiem, że w domu bywały zawsze awantury, jeżeli jaka potrawa nie dość wykwintnie była przyrządzona.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy Hela uchyliła drzwi do izby Dorulowej, posłyszała, że gospodyni mówiła do kogoś:

— ...A jak się to umiała przytaić, udawać, że z ludziami trzymo, a pokazało się, jako jest!...

Nie zastanawiając się nad temi słowami, weszła nauczycielka do dusznej „piekarni", kłębami pary, dobywającej się z wielkich garnków, zasnutej.

Dorulowa zawzięcie tłukła pałką w cebrzyku je dzenie dla świń. Twarz kobiety, zwykle pogodnie uśmiechnięta, zachmurzona była teraz i gniewna. Na skraju łóżka przysiadła jakaś kobiecina, która ciekawie łypnęła oczyma na wchodzącą Helę.

— Moja gosposiu, dajcie mi trochę przegotowanej wody! Sprzedajcie mi też z kilka jaj i niech mi Marysia skoczy do masarza po mięso!

— Marysia przy krowach, nimo casu, a ja jajek nimom — burknęła Dorulowa.

Zarówno te słowa, jak ton, którym były wypowiedziane i wyraźnie niechętne spojrzenie Dorulowej, uderzyły Helę niemile i zdumiały. Nie była przyzwyczajona do takiego zachowania się. Dotychczas gospodyni odnosiła się do niej z wielką życzliwością i ułatwiała prowadzenie skromnego gospodarstwa nauczycielki.

— Co wam to? Chorzy jesteście, czy może przykrość jaką macie?

Dorulowa nie odpowiedziała nic, tylko mocniej jeszcze pałką w cebrzyk tłuc zaczęła, jakby na tych „świńskich" ziemniakach całą złość swoją wywrzeć chciała.

— Cóż to! Nawet mi nie odpowiecie?

— Iii!... Co ta pani nauczycielce o moją „odpowieść"!...

— Od kiedy to tak? Nie poznaję was, gosposiu...

— Ano, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie...

— O cóż się gniewacie na mnie?...

— E! Cobym się ta miała gniewać... Ino bez co było tak robić, jakby panienka o niczem nie wiedziała?!...

— A juści!.. — przyświadczyła siedząca na łóżku kobieta.

— O czem?! Zmiłujcie się, Dorulowa, o co wam chodzi?...

— Niby to panna nauczycielka nie wi, o co... Takie to udawanie!...

— Ależ ja nie udaję! Ja naprawdę nie wiem!...

Dorulowa rzuciła nagle pałkę na ziemię, podparła się rękami pod boki i, patrząc Heli prosto w oczy, zapytała:

— A ten pan, co do panny przyjechał, to nie ociec, co?...

— Nie, to nie ojciec, to drugi mąż mojej matki, ojczym. Ale cóż to ma do rzeczy?...

— Aha! Nie własny ociec, ale zawdy ociec!... To panna z nim o jednem wiedzieć musiała!...

— O czem, pytam się was?!

— Ano, o czemżeby, jak nie o tem przedawaniu Franczynego grontu!... To pieknie tak zmamrać się z żydami, na krzywdę sierocką dybać i jeszcze piekne mowy prawić i niby ludzi pouczać, co mają robić?!...

Hela zbladła.

— Co! Co?! Mówcie jaśniej, o co chodzi, bo nie rozumiem!...

— Co tu jest nie do rozumienia? Przecież każdy we wsi, stary i mały wi, że ten panienki ociec to ten hadwokat, co z Wajkratem trzymo i grunt Franczyn jemu przehanglować chce!...

— Boże!...

W okrzyku tym był taki bezmiar szczerego bólu, że Dorulowa zamilkła i bacznie na swoją lokatorkę spojrzała.

— To mosi... panienka i naprawdę nie wiedziała!

— Nie wiedziałam! Nie, wierzcie mi!... I to nie mój ojciec!... Mój ojciec nigdyby czegoś podobnego nie zrobił... Ale ja nie pozwolę!...

Hela, zapominając o przygotowaniach do obiadu, wybiegła z izby.

— — — — — — — — — — — —

Zapanowała nad swojem uniesieniem. Pozornie spokojnie koło pieca krzątać się zaczęła.

Benert usiadł przy stole i, tłumiąc lekkie ziewanie, przerzucał gazetę.

— Jakiżto ojciec ma interes w T.? — rzuciła nagle pytanie, jakby od niechcenia, nie odrywając wzroku od rozbijanych na patelni jaj.

— Ach, drobnostka... Nie warto mówić o tem... Nic zajmującego... Choćbym ci zresztą powiedział, nie znasz się na tem, więc nie zrozumiesz...

— Może zrozumiem...

— Czy cię to zajmuje?

— Trochę.

— Dlaczego?

— Bo ja domyślam się, o co chodzi. To rzecz idzie o sprzedaż gruntu Franki Sojkowej, gospodyni z Zalesinek.

Benert drgnął żywo.

— Skąd wiesz?

— Słyszałam... Mówią o tem we wsi... Proszę ojca, niech ojciec tej transakcyi nie przeprowadza. — powiedziała proszącym tonem, jakim dotychczas nigdy do ojczyma nie przemawiała.

— Cóż ci znowu przyszło do głowy?

— Tam są małoletnie dzieci, które będą skrzywdzone i zresztą kawał polskiej ziemi w ręce takiego Weinkrauta...

— Moja droga, nie lubię, kiedy kobiety wtrącają się do interesów, na których się nie rozumieją.

Oczy Heli zapłonęły. Gwałtownym ruchem rzuciła na blachę pieca łyżkę, którą mieszała jajecznicę.

— Ja się na tym interesie rozumiem i wiem, jak on się nazywa!...

— Jakim ty tonem mówisz?!

— Nie o ton chodzi, ale o rzecz!... Ten „interes" to jest rzecz niegodna.

Benert nie mógł wytrzymać jej śmiałego spojrzenia, spuścił głowę, zdjął szkła i zaczął je nerwowo przecierać.

— Mówiłem ci już, że się na tych rzeczach nie znasz. Ta kobieta, jeżeli nie sprzeda teraz gruntu, to zostanie później bez grosza i ona i jej dzieci...

— Może znaleźć się inny kupiec. Tutaj we wsi nie brak bogatych gospodarzy, którzy kupiliby i zabezpieczyli przy kupnie spadek sierot...

— Cóż to? Masz zamiar robić mi przepisy?!... Nie wtrącaj się do tego, co cię wcale nie dotyczy...

— Właśnie, że to mnie dotyczy! I jako człowieka uczciwego i jako Polkę i jako pasierbicę pańską, panie Benert! Tak, bo, niestety, jesteś pan mężem mojej matki, ojcem mojej siostry!

Benert zerwał się, blady z gniewu. Silnie ścisnął ręką poręcz krzesła.

— Jak śmiesz! Milcz!... Wroga sobie wychowałam w domu! Kto na ciebie pracował? Żebraczką byłabyś, zmarniałabyś, gdyby nie ja!

— O tem nie mówmy, bo nie chcę się zapomnieć... Dosyć, że oświadczam panu, iż nie pozwolę doprowadzić do skutku tego tak uczciwego, tak obywatelskiego interesu...

Benert opanował się już. Ironicznem spojrzeniem swoich stalowo pobłyskujących oczu zmierzył pasierbicę.

— Co? Nie pozwolisz? Proszę, i w jakiż to sposób zdołasz to uczynić? Zapominasz, zdaje się, że to ja, twój opiekun, jako nie pełnoletniej mogę zabraniać, lub pozwalać!

— Za kilka miesięcy kończy się pańska opieka! A co do sposobu, w jaki zdołam przeszkodzić, to jest bardzo poprostu... Jeżeli grunt Sojkowej, a także gospodarstwo Sobusiaków, zostaną sprzedane, to za kilka dni we wszystkich pismach krakowskich i lwowskich ukaże się wiadomość, że mecenas Benert, znany i szanowany obywatel, członek wydziału stowarzyszenia, mającego na celu obronę interesów narodowych, członek wielu innych towarzystw i t. d. i t. d.

— Milcz, żmijo!

— ...Że tenże pan mecenas Benert frymarczy ziemią polską, wydziera dobytek dzieciom po poległym żołnierzu i prowadzi interesy wspólnie z lichwiarzami i obcymi spekulantami!

— Tego ci żadne pismo nie umieści!

— Owszem, umieści, bo ja wezmę całą odpowiedzialność na siebie, podpiszę się pełnem imieniem i nazwiskiem, ja, Helena Lidzińska!

— Nie zrobisz tego, nie ośmielisz się!

— Ośmielę się i zrobię! Pan o tem wiesz dobrze, że mam silną wolę i słowa, raz danego, nie cofam...

— Zaskarżę cię o oszczerstwo! Pójdziesz do więzienia!

— Proszę, niech pan próbuje! Nie jestem wprawdzie prawnikiem, ale wiem, co to znaczy „przeprowadzić dowód prawdy"!

— Żmijo! Progu mego domu przestąpić ci nie pozwolę!

— O, może pan być pewny, że go nie przestąpię! Nie pragnę tego wcale...

— — — — — — — — — — — —

Rozpłakaną, wyczerpaną sceną z ojczymem Helę tuliła w swoich silnych ramionach Dorulowa, jakby kogoś bardzo jej bliskiego i miłego.

— Panienko, panienko! Niekże panienka nie becy, bo oczów szkoda! Nie trza też żalu do mnie mieć za to głupie słowo, com w prędkości pedziała!... Wiadomo, człowiek omylny jest... A panienka, to tako jest, że ze świecą szukać! Nawet za dobra, za dużo o jenszych myśli, kie trza więcy o sobie! Franka się wściko i na panienkę odgrazuje, ale niechby co, dałabym ja jej! Ale jej, panienko, nic nie pomoże, tej ladaśnicy!... Pójdzie ona na przepadle, imię i jej dobytek zmarni się. Na to już rady nijakiej nimo!...

Dokończenie nastąpi.

Uroczystość strażacka w Krakowie.

W ubiegłą środę odbyła się na dziedzińcu strażnicy, przy ulicy Potockiego, piękna uroczystość dekorowania kilkunastu strażaków krakowskich, odznaczonych za ich znakomitą działalność w czasie wojny. W uroczystości tej wzięli udział: komendant twierdzy krakowskiej ekse. Guseck von Glankirchen, pułkownik Grimm, szef sztabu twierdzy, prezydent miasta dr Leo, wiceprezydencyi pp.: J.K Federowicz, Sare i Rolle, dyrektor magistratu Grodyński, radca dr Reiner i inżynier Stahl, wreszcie zastępca chorego naczelnika straży, p. Nowotnego, kapitan Niewiadomski, oraz przydzieleni do straży oficerowie: porucznik Bryl i porucznik Naparstek.

Na dziedzińcu ustawili się w szeregu najpierw odznaczeni strażacy, a następnie wolni od służby ich towarzysze. Po złożeniu raportu przez kapitana Niewiadomskiego, zabrał pierwszy głos generał Guseck i podniósł, że odznaczenia straży krakowskiej za jej znakomitą służbę w czasie wojny są dowodem niezwykłego uznania ze strony cesarza i złożył odznaczonym strażakom z tego powodu serdeczne życzenia. Następnie generał Guseck osobiście przypinał odznaczenia, które otrzymali:

Inspektorzy Adam Flasza i Wilhelm Fenz, złoty krzyż zasługi z koroną na wstędze medalu za waleczność; brandmistrze Władysław Uroda i Stanisław Łosiowski, złoty krzyż zasługi na wstędze medalu za waleczność. Takie samo odznaczenie otrzymał zmarły w lutym b. r. brandmistrz, ś. p. Tadeusz Zołdani.



Uroczystość strażacka w Krakowie: Komendant twierdzy J. E marszałek polny por. Guseck v. Glankirchen (X) przypina złoty krzyż zasługi z koroną inspektorowi Straży, Adamowi Flaszy. — Stoją od strony lewej ku prawej: Prezydent miasta J. E. dr. Leo, zastępca komendanta krakowskiej Straży ogniowej, kapitan Niewiadomski, szef sztabu jeneralnego komendy twierdzy, pułkownik Grimm.

Srebrne krzyże zasługi z koroną na wstędze medalu za waleczność otrzymali sierżanci straży fortecznej: Czekaj Piotr, Chmielewski Leonard, Dura Ignacy, Kasznik Tomasz, Król Jan, Miętka Wawrzyniec, Mikosz Michał, Pabijan Jan, Pachowski Marcin, Stanuch Michał, Stryczek Kazimierz, Więcek Franciszek.

Po wręczeniu dekoracyi strażakom, zabrał głos prezydent dr Leo, który podziękował komendantowi twierdzy za słowa uznania, wyrażone pod adresem straży pożarnej krakowskiej, mającej sławę najlepszej w kraju całym i wyraził zapewnienie, że gmina krakowska będzie dalej otaczała straż tą samą opieką, jak i dotąd. — Historya tej straży świadczy o wielkich jej zasługach, położonych dla miasta i jego mieszkańców. Wkońcu prezydent dr Leo podziękował naczelnikom i wszystkim członkom straży za gorliwe spełnianie swoich obowiązków, czego dowodem było najwyższe uznanie, jakie tę straż spotkało ze strony cesarza.

Wreszcie kapitan Niewiadomski podziękował przybyłym dygnitarzom za udział w uroczystości.

Nowa ofenzywa na Zachodzie.

Zapowiadana od tak dawna ofenzywa wojsk francusko-angielskich stała się faktem. Od dnia 10-go b. m. pod Arras toczy się wielka bitwa, której gwałtowność przewyższa wszystkie dotychczasowe walki. Sądząc z tych rozmiarów, chodzi tutaj o bitwę w olbrzymim stylu, a jak podnoszą pisma niemieckie, o bitwę, rozstrzygającą o całej kampanii. Plany jednak przeciwników w tej ofenzywie zostały pokrzyżowane skutkiem odwrotu Niemców w marcu b. r.



Uroczystość strażacka w Krakowie: Grupa odznaczonych strażaków z naczelnikiem W. Fenzem i inspektorem A. Flaszą na czele, podczas aktu dekoracyi.



Z frontów bojowych: Stacya austryackiego telefonu polowego





Nowa ofensywa na Zachodzie:

Kwatera niemiecka wśród lasu na zachodnim froncie.

Silnie ufortyfikowany rów strzelecki na nowym froncie niemieckim nad Sommą.

Jak wiadomo, dawny front niemiecki, ciągnący się łukiem ku zachodowi między Arras i Soissons, po odwrocie zredukował się mniej więcej do linii prostej, łączącej oba te miasta. -- Arras stanowiło przytem niejako oś ruchu odwrotowego. Pod względem strategicznym punkt ten ma pierwszorzędne znaczenie.

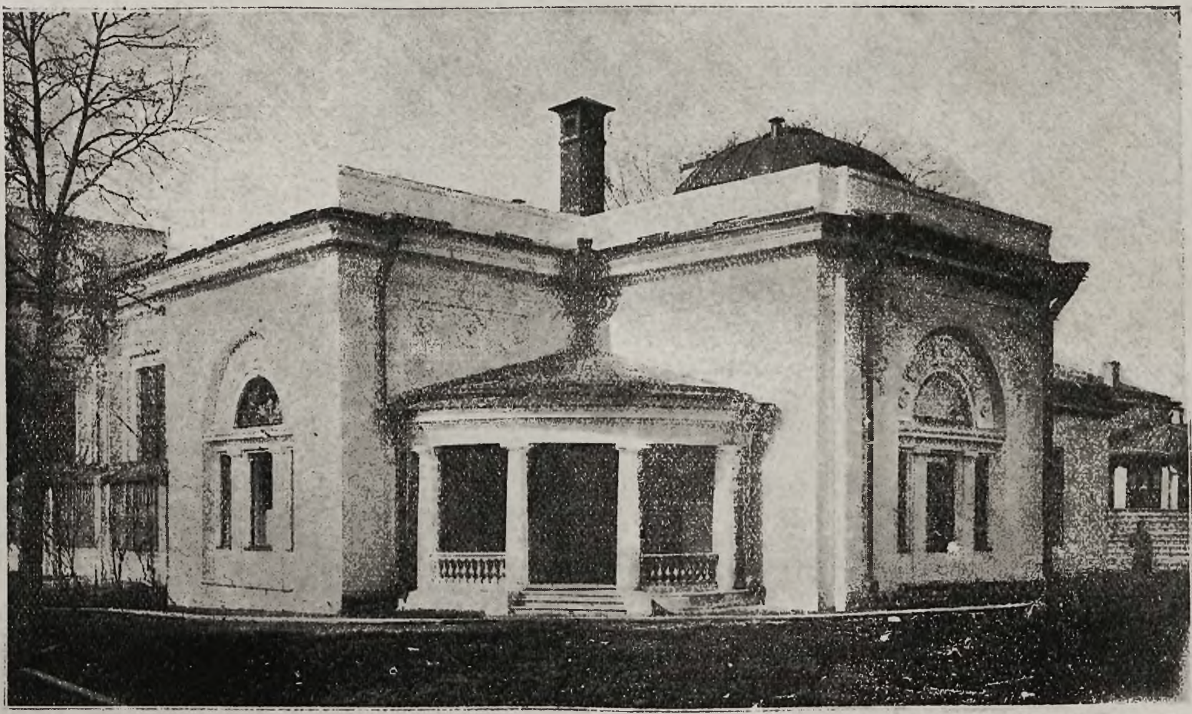
Uderzenie na taki punkt może mieć na celu tylko przełamanie go, wtedy bowiem, poza sukcesami lokalnymi w terenie, może dawać widoki rozstrzygnięcia w wielkim stylu.

Dotychczas jednak uderzenie wojsk angielskich, pomimo całej gwałtowności, poza lokalnymi sukcesami nie osiągnęło bynajmniej zamierzonego celu. Komunikat niemiecki przyznaje wprawdzie, że nieprzyjaciel opanował pozycye niemieckie przy drogach wybiegających z Arras, ale wyraźnie oświadcza, że przełamanie nie udało się Anglikom, a o to przecież chodziło w tej nowej ofenzywie, podjętej po tak długiem i starannem przygotowaniu.

Dalsze fazy bitwy wniosą niewątpliwie więcej światła w plany angielskiego wodza Haiga. Na razie, zdaje się, że uderzenie pod Arras jest tylko początkiem wielkiej ofenzywy, która — jak podają pierwsze relacye ze źródeł neutralnych — rozwija się na froncie stu pięćdziesięciu kilometrów, a w której ma brać udział milion żołnierzy angielskich. — Na razie jednak faktem jest, że pierwszy cios, zawsze najstaranniej przygotowany i główny czynnik powodzenia, jako cios najsilniejszy — chybił celu.

W każdym razie należy stwierdzić, że rozwija się na zachodnim froncie wielka bitwa — którą porównać chyba można z orkanem. Według relacyi korespondenta wojennego „Daily News", na całym froncie szaleje ogień huraganowy, a grzmot dział jest tem gwałtowniejszy, że Anglicy od szeregu miesięcy pracowali coraz intenzywniej nad ustawieniem ciężkich, dalekonośnych dział, które teraz, w piekielnym koncercie armat wszelkiego kalibru, głos także zabrały. — Wojskom angielskim powiedziano, że jest to już początek największych i ostatnich walk w tej wojnie, nic więc dziwnego, że idą one do walki z jak najżywszem życzeniem położenia kresu wojnie.

O ogromie bitwy pod Arras daje pojęcie fakt, że, jak oblicza „Petit Parisien", na tym niewielkim stosunkowo odcinku Anglicy skoncentrowali kilka tysięcy dział.



„Pawilon ministrów" w petersburskiej Dumie: Część pałacu Taurydzkiego, przeznaczona na tymczasowe więzienie dla dostojników cywilnych i wojskowych.

„Pawilon ministrów" w petersburskiej Dumie.

Nawiązując do zamieszczonej w poprzednim numerze notatki o „pawilonie ministrów" w petersburskiej Dumie, podajemy dziś illustracyę, przedstawiającą zewnętrzny widok tej części pałacu Taurydzkiego.

Z chwilą wybuchu rewolucyi, zwolennicy „dawnego porządku" internowani zostali jako więźniowie polityczni w tej części gmachu i otoczeni strażą, która miała przeszkodzić wzajemnemu ich porozumiewaniu się między sobą i ze światem zewnętrznym, dopóki sprawa ich nie zostanie rozstrzygniętą przez nowy rząd. — Znaleźli się tutaj najwybitniejsi dostojnicy tak cywilni, jak wojskowi, przedstawiciele wszystkich ministerstw, urzędów, „najświętszego Synodu", słowem wszyscy ci, którzy do niedawna grupowali się koło osoby carskiej i według swego widzimisię kierowali sprawami państwowemi, aż je doprowadzili do... rewolucyi.

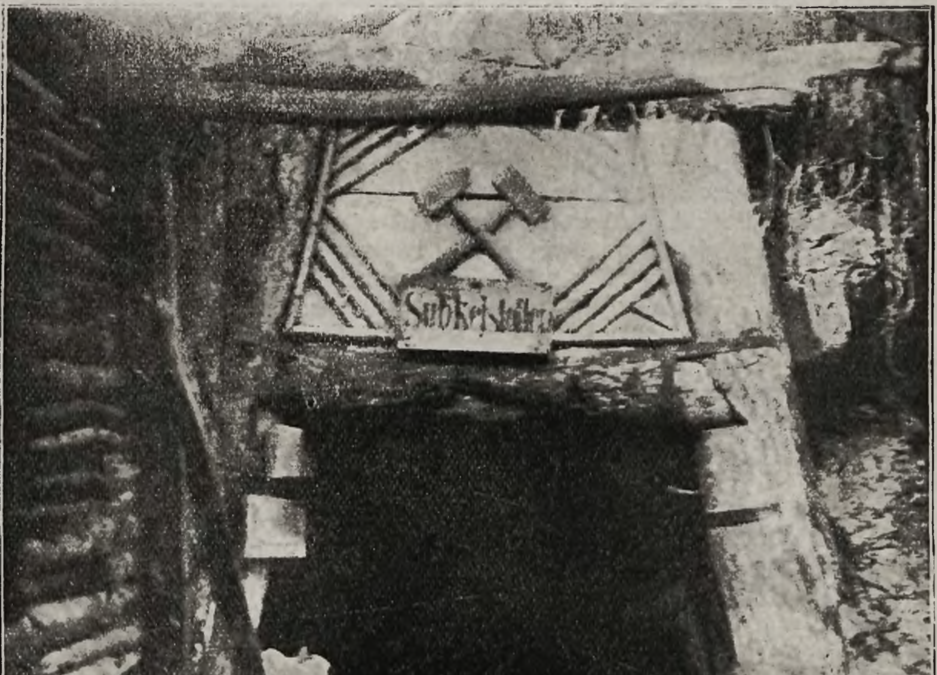
Ten przymusowy wypoczynek po dotychczasowem ruchliwem życiu, być może nie każdemu z nich przypadł do gustu, dla niejednego był przecież zbawieniem i ostatnią deską ratunku. Gdyby nie areszt i odosobnienie pod silną strażą, kto wie, czy ten lub ów z obecnych więźniów nie byłby padł w krytycznym czasie pod razami doprowadzonego do ostateczności petersburskiego ludu.

„Pawilon ministrów" składa się z trzech ubikacyi, małego westybulu i małego gabinetu dla służby. Spokój tu i cisza. Więźniowie zachowują się z godnością, rozmyślając nad zmiennością losu, który tak niemiłosiernie zadrwił sobie z nich, strącając z piedestału, choć czuli się na nim tak bezpieczni.

W salach pomieszczono „gości" z zachowaniem szacunku dla rangi, jaką dotąd piastowali. W pierwszej, największej, znaleźli pomieszczenie przeważnie wszyscy dostojnicy wojskowi wraz z kilku osobami cywilnemi, w mniejszej — ministrowie i senatorzy,



Z frontów bojowych: Austryacka stacya radiotelegraficzna.



Nowa ofenzywa na Zachodzie: Wejście do korytarza minowego, prowadzącego pod nieprzyjacielskie pozycye.



Ameryka po stronie koalicyi: Prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson (X), w otoczeniu członków waszyngtońskiego gabinetu

trzecia wreszcie przeznaczoną została dla najmniej stosunkowo znakomitych więźniów, gdyż dla szefów policyi i żandarmeryi.

O ile wierzyć można doniesieniom dzienników, dotychczasowi lokatorzy „pawilonu ministrów" zmienili obecnie miejsce zamieszkania. Przeniesiono ich do twierdzy Petropawłowskiej, gdzie jest więcej miejsca i bezpieczniej, a dokąd nie tak jeszcze dawno oni wysyłali tych, którzy dziś objęli ster rządów państwa w swe ręce.

Z frontów bojowych.

Gdy na froncie zachodnim toczy się największa może bitwa w obecnej wojnie, na innych frontach panuje względny spokój, który przerwała niespodziewana bitwa nad Stochodem, zakończona dotkliwą klęską Rosyan. O przebiegu tej bitwy, w której, jak to przyznali sami Rosyanie w swym urzędowym komunikacie, kilka pułków rosyjskich zostało zdziesiątkowanych, sprawozdawca „Berliner Tageblattu" podaje następujące ciekawe szczegóły:

„W przededniu szturmu na przyczółek mostowy pod Tobołami otrzymali Rosyanie prawdopodobnie jakąś dobrą wiadomość, gdyż wznosili głośne okrzyki: „Hura!" i wystawiali z rowów tablice z napisem: „Germancy kaput", albo „Cesarz niemiecki umarł", albo wreszcie „Germancy nie mają chleba". Nie wiedzieli, co nie jest już zdradą żadnej tajemnicy, że uderzenie na Toboły było już dawno przygotowane. Tylko tej dokładnej pracy przedwstępnej zawdzięczają Niemcy szybkie zwycięstwo, okupione niewielkiemi ofiarami. Przez całą zimę czyniła komenda niemiecka rozmaite przygotowania, ale niektóre prace były niemożliwe z powodu wielkich mrozów, podczas których zamarzła ziemia i stawiała opór jakby mur betonowy.

Trzeba było czekać na porę tajania. Atoli pora ta przyszła tak nagle i niespodziewanie, że w południowej części przyczółka mostowego, w okolicy na południowy zachód od Rudnika, gdzie wielkie miny, wylatując w powietrze, miały zagaić bitwę, woda zalała chodniki. Przez pewien czas musiała się odbywać walka z wodą.

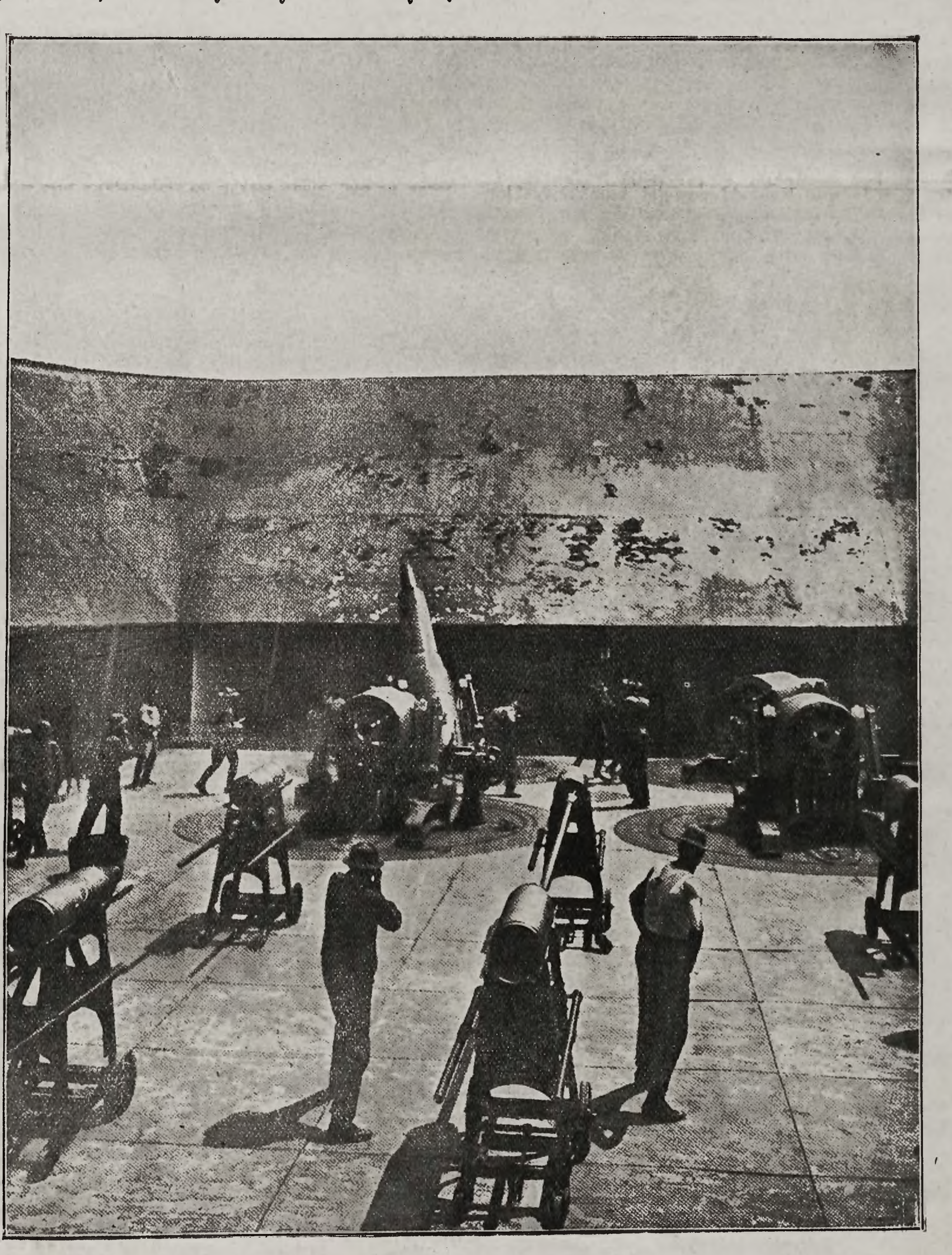
Z pod Starego Czerewiszcza poszli do szturmu jeźdźcy bawarscy, brodząc po piersi przez wodę. Mimo to wszystko, powiodło się. Atak szedł tak szybko, że wkrótce został cel osiągnięty. Działo się to już o zmroku. Wykonanie ataku postanowiono dopiero dnia 2. b. m. wieczorem. Wedle planu mieli Niemcy w dniu 3 b. m. zdobyć tylko południową część przyczółka mostowego, mniej więcej aż po linię Rudka-Czerewiszcze, tudzież położony na zachód „mur rosyjski".

O świcie rozpoczęła się gra dział i miotaczy min, o godzinie pół do ósmej rano rozszalał się huragan armatni. Bateryе rosyjskie zostały tak zasypane ogniem, że prawie nie mogły odpowiadać. W północnej części przyczółka mostowego, a więc pod Tobołami, miał być nieprzyjaciel w dniu tym jedynie spętany. W tym celu silne patrole konnicy bawarskiej wyruszyły nocą i obsadziły lasek, położony na południe od Starego Czerewiszcza, wyparłszy straże rosyjskie. Położony obok drugi lasek był zalany.

Ciężkie pociski działowe zniszczyły także w północnej części przyczółka mostowego stanowiska rosyjskie. Rosyjskie karabiny maszynowe znalazły się w takim ogniu, że podczas szturmu niemieckiego skazane były na bezczynność. Pomiędzy godziną 10 a 11 przedpołudniem zauważono wsteczne ruchy na niektórych częściach rowów rosyjskich. Punktualnie o godzinie 11 przed południem wedle programu wyleciała w powietrze mina na północ od Rudnika, na południowo zachodnim stoku góry 166, czyniąc olbrzymie spustoszenia. O godzinie 1 minut 15 po południu poszła do szturmu piechota niemiecka i już po pięciu minutach znalazła się po drugiej stronie rowów rosyjskich. Biegiem odbywał się dalszy pochód. Telefon nieustannie donosił o nowych sukcesach.

O godzinie 1 minut 40 część stanowisk rosyjskich pomiędzy drogą Helenin-Toboły a Stochodem pod Rudnikiem była już w rękach niemieckich zaś o godzinie 3 popołudniu cel szturmu został osiągnięty. Cel, zamierzony owego dnia. Ale natychmiast wyznaczyła komenda niemiecka nowy cel. Konnica bawarska stanęła znowu gotowa do ataku po obu stronach Czerewiszcza. Rosyjski ogień zaporowy wstrzymywał jeszcze ataki. Ale od południa atakujące kolumny niemieckie posuwały się niepowstrzymanie aż pod wiatrak, stojący na zachodniem zboczu góry pod Tobołami i poza wieś Czerewiszcze. W położonych na wyżynie Tobołach, zwłaszcza na cmentarzu, Rosyanie stawiali zaciekły opór. Około godziny 6 wieczorem i tutaj kolumny niemieckie zaczęły się coraz dalej posuwać, a o godzinie 7 wieczorem całe Toboły dostały się w ręce niemieckie. Wśród księżycowej nocy nastąpił jeszcze atak konnicy bawarskiej. Cały przyczółek mostowy pod Tobołami znajduje się w rękach niemieckich, po tej stronie Stochodu niema już Rosyan.

Ale — jak stwierdza korespondent, naoczny świadek zniszczenia — Toboły zniknęły z powierzchni ziemi"...



Ameryka po stronie koalicyi: Ćwiczenia w strzelaniu w amerykańskiej szkole artyleryi.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: Marya Segeny.

11

— Nie większa od miss Darnell.

— To prawda.

Obydwaj detektywi palili papierosy jakiś czas w milczeniu, poczem Hickory podjął przerwaną rozmowę.

— Publiczność nie będzie się nudziła w sali, kiedy ta młoda panna zacznie czynić zeznania. To będzie jutro, zdaje się!

— Zapewne. Jedna rzecz mnie szczególniej uderzyła, wie pan?

— Cóż takiego?

— Miss Darnell przez cały czas badania nie spuszczała wzroku z więźnia, podczas kiedy Morgan, przeciwnie, stara się nawet na nią nie spojrzeć.

— Nie może zapomnieć, że jej zawdzięcza swoje aresztowanie i obecną sytuacyę.

— To przecież nie tłumaczy pogardliwej obojętności jego zachowania względem niej. Prędzej bym pojął nienawiść, urazę! Winny, czy niewinny, dlaczego zdradza tę pogardę wobec tej, która przekonaną jest o jego zbrodni.

— Jest człowiekiem i przez to samo niekonsekwentny.

— Pod warunkiem jednak, że jest winny. Gdyby nasze przypuszczenia były fałszywe, a zbrodnię popełnił ktoś inny, byłoby zupełnie naturalnem, że pogardza nią dlatego, że, kochając go, nie uwierzyła w jego niewinność mimo wszystko.

— Zapewne — potwierdził Hickory, ale tonem tak dziwnym, że znowu Byrd spojrzał na niego z boku, bez zwrócenia jednak uwagi detektywa.

— Na czem pan opiera przypuszczenie, że jutro miss Darnell przesłuchiwaną będzie? — zapytał po chwili obojętnie Hickory.

— Ze sposobu, w jaki pan Ferris prowadzi oskarżenie — odpowiedział Byrd z pospiechem człowieka, zadowolonego z innego kierunku rozmowy. — Musiał pan zauważyć, że postępuje w sposób bardzo metodyczny. Naprzód powołał świadków, skłonnych do potwierdzenia przyczyny, która popchnęła Morgana do pozbycia się ciotki: pana Goodmanna i innych aferzystów z Buffalo, którzy niejednokrotnie słyszeli z ust oskarżonego, iż potrzebuje pewnej sumy, by wykorzystać swój wynalazek.

Następnie skonstatował, że ta suma odpowiadała w zupełności tej, którą Morgan miał odziedziczyć po pani Clemmens. Wykazał dalej, że młody człowiek wiedział o wysokości tej sumy i o rozporządzeniach testamentowych ciotki.

Po ujawnieniu w ten sposób powodu, prowadzącego do zbrodni, należało dowieść, że Morgan znalazł się w okoliczności, sprzyjającej temu. Zostało więc wykazane, że oskarżony był w Sydney 27-go listopada. Zeznania naczelnika stacyi w Monteith i starej Sally Perkins są jasne i dokładne i nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Poczem zeznawaliśmy obydwaj, jak młody człowiek, po popełnieniu zbrodni, mógł niepostrzeżenie oddalić się, nie będąc spotkany przez nikogo, przez moczary i lasy, znajdujące się w pobliżu Białego Domku. Cóż więc pozostaje do skonstatowania? Obecność oskarżonego na samem miejscu zbrodni, w chwili kiedy pani Clemmens zamordowaną została. Tutaj naturalnie nasuwa się sam przez się fakt znalezienia przezemnie pierścienia w jadalnym pokoju Białego Domku. Otóż, zeznanie miss Darnell w tym kierunku jest nieodzownem. Czy nie jest pan mojego zdania?

— Hm, hm! Nie cofnie się ona przed niem! — mruknął Hickory.

— Będzie nawet do tego zmuszoną — rzekł Byrd, którego wzrok spoczął badawczo na twarzy detektywa.

Tenże jednak nie zauważył tego i zapytał:

— Co pan myśli o panu Ormond?

— On bardzo mało mówi — zauważył Byrd.

— Czy to pana nie niepokoi?

— Cokolwiek. Ludzie, którzy go znają, twierdzą, że nigdy nie widzieli go tak mało przejętego sprawą, której broni. Nie starał się nawet obalić wartości zeznań przeciwnej strony. Jedną tylko rzecz użyteczną uczynił dla oskarżonego!

— Co takiego?

— Pozwolił, a właściwie wywołał sam obronę pana Goodmanna w stosunku do Morgana.

— Pan Goodmann jest przyjacielem oskarżonego.

— Wiem o tem, ale słowa jego przekonywające i szczere nie przeszły bez wrażenia na sędziów przysięgłych.

— Tak, tak! — potwierdził Hickory — Pan Ormond nie uczynił tego bez celu, to jasne.

— Przedewszystkiem zdał sobie szybko sprawę z bezcelowości odpierania zarzutów, nagromadzonych przeciw jego klientowi. Fakta są zanadto jaskrawe i bronić w tych warunkach byłoby rzeczą zanadto ryzykowną.

— Ten stary lis musi mieć jakiś plan gotowy w głowie — zaśmiał się Hickory. — Ale jaki? Chciałbym bardzo zaznajomić się z nim!

— A ja! — szepnął Byrd, zamyślając się głęboko — Nie mam jednak nadziei, żebyśmy prędko i równocześnie odkryli.

Zeznania Beatryczy Darnell.

Byrd nie był jedyną osobą, która się spodziewała, że miss Darnell wkrótce zawezwaną zostanie na salę rozpraw.

Nazajutrz, już od najwcześniejszej godziny, publiczność tłoczyła się liczniejsza, niż dotąd, do gmachu, gdzie sądzono sprawę mordercy pani Clemmens. Detektyw, nie bez trudności, zdołał się przecisnąć aż do miejsca, zachowanego dla niego przez Hickory'ego.

Cyryl Morgan siedział na ławie oskarżonych. Z wyrazu jego twarzy łatwo było można wyczytać, że nadeszła dla niego chwila, w której potrzebować będzie całej swojej energii i przytomności umysłu. Nigdy jeszcze jego męskie rysy nie wyrażały tak głębokiego postanowienia i skupienia.

Miss Beatrycza Darnell, objąwszy go długiem spojrzeniem w chwili, kiedy ajenci wprowadzali go na salę, teraz, wbrew swojemu zwyczajowi, trzymała oczy uparcie spuszczone ku ziemi.

Pan Ormond zaś, którego uwagi nie uszedł żaden szczegół, pochylił się ku swojemu klientowi.

— Panie Morgan! — zapytał przyciszonym głosem — Czy jest pan gotów stanąć oko w oko z miss Darnell?

— Tak! — odpowiedział młody człowiek, stanowczo patrząc prosto w twarz swojego adwokata.

— Uczyni pan w takim razie dobrze, patrząc teraz na nią, kiedy wzrok jej skierowany jest w inną stronę. To uchroni może pana od wzruszenia, kiedy później będzie zmuszoną stanąć przed panem dla wydania zeznań.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta młodego inżyniera; poszedł jednak za radą pana Ormond i spojrzał na miss Darnell.

Adwokat w tej chwili bacznie obserwował tego rywala, którego za wszelką cenę chciał obronić i ratować. Zdawało się, że myśl jego dręczy obecnie wieczne pytanie pogardzonych kochanków: „Co ona znajduje w tym człowieku i dlaczego przenosi go nademnie?"

Podczas tego, pan Ferris, któremu nie była obca tajemnica przyjaciela, również bacznie przyglądał mu się, chcąc podchwycić jego myśli i wrażenia.

— Ten człowiek — myślał prokurator — poświęca się szlachetnemu celowi, a jednak jest coś w wyrazie jego oczu, co nie wydaje mi się naturalnem. Może, ratując swojego rywala, pociesza się nadzieją, że tym sposobem zdobędzie serce kobiety, którą obydwaj kochają?

— Sędziowie przysięgli! — zawołał nagle woźny i wszyscy obecni na sali powstali z ławek.

Tak, jak to przypuszczał Byrd, pierwszym zawezwanym świadkiem była miss Darnell.

Pierwsze formalne zapytania prokuratora wywołały przykre zajście. Zapytana o nazwisko i godność, młoda dziewczyna odpowiedziała, czerwieniąc się lekko:

— Nie wiem, panie prokuratorze, kto byli moi rodzice. Jestem znalezionem dzieckiem.

— Miejsce zamieszkania? Zajęcie?

— Jestem na razie zajęta jako lektorka przy pani doktorowej Darling w West-Ridge.

Na te słowa silne drżenie przebiegło postać oskarżonego. Jasnem było, że nie wiedział o zmianie, zaszłej w życiu miss Darnell.

— Czem się pani zajmowała przedtem?

— Byłam towarzyszką panny Ormond.

— Pani zna oskarżonego?

— Znam go.

— Pani zechce powiedzieć, odkąd datuje się ta znajomość?

— Został mi przedstawiony cztery miesiące temu w Buffalo, w domu moich znajomych.

— Czy wiedziała pani wówczas, że był krewnym pani Clemmens, zamieszkałej w tem mieście?

— Nie, panie prokuratorze. Dopiero w jakiś czas później, po kilkakrotnem widzeniu pana Morgan, dowiedziałam się o tym szczególe.

— Pani wybaczy, miss Darnell, ale jestem zmuszony ze względów sprawiedliwości zapytać panią, czy oskarżony robił pani kiedy propozycyę małżeństwa?

Twarz młodej dziewczyny przybrała odcień szkarłatny. Spuściła oczy i odpowiedziała z wysiłkiem:

— Tak, panie prokuratorze.

— Czy tę propozycyę przyjęła pani?

— Nie.

— W jakim stosunku była pani do oskarżonego, kiedy pani opuszczała Buffalo?

— W bardzo dobrym.

— Czy pani korespondowała z nim?

— Tak.

— Proszę panią, miss Darnell, niech nam pani powie, jaki powód podała pani oskarżonemu, odmawiając mu swojej ręki?

Pan Ormond na to zapytanie zerwał się gwałtownie, jak gdyby chciał zaprotestować, ale usiadł natychmiast nie wyrzekłszy słowa.

— Zwróciłam mu uwagę — odpowiedziała młoda dziewczyna niechętnie — że sytuacya jego materyalna nie pozwalała na połączenie się nasze. Byłam zawsze ambitną z natury i nie znając dotąd cierpienia, przywiązywałam większą wagę do stanowiska socyalnego człowieka, który miał zostać moim mężem, niż do jego zalet wewnętrznych.

Nie było wątpliwości, że to ostatnie zdanie było wypowiedziane z intencyą dla Cyryla Morgan. A wypowiedziane było tonem takiej pokory, że zadziwić mogło wszystkich, znających dumny i nieugięty charakter miss Darnell.

Instynktownie wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę oskarżonego, którego twarz przyoblekła się trupią bladością. Pan Ormond był również blady i drżenia nerwowe przebiegały jego twarz wzruszoną. Ale, podczas kiedy wzrok młodego człowieka wyrażał najwyższą pogardę, w spojrzeniu pana Ormond przebijało się silnie cierpienie, wywołane słowami ukochanej kobiety.

Pan Ferris, złorzecząc w duchu, iż jest zmuszony wyrządzić przykrość swojemu przyjacielowi, ciągnął dalej badanie:

— Jaka była odpowiedź oskarżonego?

— Odpowiedział mi, że ma nadzieję stworzenia sobie błyszczącej przyszłości.

— Czy powiedział pani, w jaki sposób zamierzał dojść do tej nadziei?

— Tak.

— Miss Darnell, czy te listy od pani pochodzą?

Młoda dziewczyna obrzuciła wzrokiem paczkę listów, wskazanych jej przez prokuratora. Ujęła ją w rękę i zadrżała, ujrzawszy czarną wstążkę, którą była przewiązana.

— Tak, panie prokuratorze — odrzekła — te listy pochodzą odemnie.

Mówiąc to, podała paczkę panu Ferris, ale w taki porywczy sposób, że czarna wstążka została w jej ręce.

— Chcę przeczytać głośno jeden z tych listów — wyrzekł prokurator — ale może pan Ormond pragnie się przedtem zapoznać z ich treścią.

Wszystkie spojrzenia zawisły na adwokacie, kiedy odbierał listy, pisane ręką Beatryczy Darnell do swojego rywala.

Nawet sztywne i surowe rysy Cyryla Morgan złagodniały cokolwiek pod wrażeniem litości dla tego człowieka, którego poświęcenie było wystawione na tak ciężką próbę.

Każdy czuł instynktownie, że pan Ormond dawał dowód niezwykłego heroizmu i silnej woli.

Jednakże adwokat porozumiewał się ze swoim klientem.

— Czy może nie życzy pan sobie, aby odczytano ten list? — zapytał szeptem.

— Jest mi to obojętne.

Pan Ormond zwrócił natychmiast list panu Ferris, mówiąc ze spokojną godnością:

— Niech pan przeczyta, panie prokuratorze, skoro pan to uważa za stosowne.

— List ten — zaczął pan Ferris — datowany jest z dnia 25. listopada, a więc pisany na trzy dni przed śmiercią pani Clemmens. Oto, co zawiera:

— „Mój kochany Cyrylu.

Ponieważ nalegasz na widzenie się ze mną i mówisz, że masz specyalne powody, przeszkadzające Ci odwiedzić mnie otwarcie, zgadzam się na schadzkę, wyznaczoną przez Ciebie, chociaż przykro mi bardzo, że muszę działać w ten sposób ukryty. Mając nadzieję, że nie będziesz czuł do mnie żalu za tę szczerość, oczekuję Twojego przybycia z niecierpliwością

Beatrycza."

Treść tego listu, wyjawiająca sytuacyę nieznaną

publiczności do tej chwili, wywołała ogromną sensacyę. Ci, którzy znali miss Darnell i wiedzieli, że jest narzeczoną adwokata Ormond, zamienili między sobą spojrzenia, pełne zdumienia.

Młoda dziewczyna musiała sobie zdać sprawę z ogólnego wrażenia, bo spojrzała wymownym, błagalnym wzrokiem na adwokata, jak gdyby chcąc go przeprosić za zadane cierpienie.

Ale już prokurator badał dalej:

— Czy to spotkanie miało miejsce?

— Tak.

— Kiedy i w jakiem miejscu?

— Popołudniu, dnia 27. listopada, na polance, znajdującej się poza domem pani Clemmens.

— Jakiż był przebieg tego spotkania?

— Gdyby pan prokurator zechciał mi zadać więcej konkretne pytanie, odpowiem na nie z całą szczerością.

— Czy oskarżony mówił pani wówczas o swojej przyszłości?

— Tak.

— W jakich słowach?

— Był bardzo przybity i zniechęcony.

— Czy odkrył pani przyczynę tego zniechęcenia i przybicia?

— Mówił mi, że sprawa jego wynalazku nie jest na najlepszej drodze.

— Co to mogło znaczyć?

— Że nie potrafił zainteresować żadnego kapitalisty do wyzyskania tego wynalazku.

— Czy to był jedyny powód, jaki pani podał?

— Nie, panie prokuratorze. Widział się właśnie z ciotką, którą chciał prosić o pomoc, ale...

— Ale co, miss Darnell?

— Ale pani Clemmens odmówiła i nie chciała przed czasem wydać potrzebnej sumy.

— Czy, mówiąc o porażce, jaka go spotkała, oskarżony wyraził pewien żal do swojej ciotki?

— Tak. — odpowiedziała z wysiłkiem miss Darnell.

— Czy przypomina sobie pani słowa, jakich użył przy tej sposobności?

— Nie przypominam sobie dobrze. — zaczęła młoda dziewczyna.

— Miss Darnell, niech pani stara sobie przypomnieć — to rzecz ważna. — zauważył prokurator, patrząc na nią surowym wzrokiem.

— Jest zdanie jedno, które sobie przypominam — podjęła miss Darnell z pomieszaniem.

— Jak brzmi to zdanie, miss Darnell?

— „Życie moje stanie się bez wartości bez ciebie. I dla tej choćby przyczyny rzecz ta musi się spełnić — i spełni się, choćby mnie to wiele kosztować miało“...

Miss Darnell wymawiała te słowa monotonnie, prawie machinalnie, jak gdyby chcąc uniknąć nadania im większego znaczenia. Na nieszczęście, jeżeli taki był rzeczywiście jej zamiar, to wywołał wręcz przeciwny skutek — stłumiony szept przebiegł po sali.

— Miss Darnell! — podjął po chwili prokurator — Czy nie wyraziła pani przy tej sposobności chęci poznania pani Clemmens?

— Zdaje mi się, że tak.

— Co na to odpowiedział oskarżony?

— Zapytał mnie, w jakim celu chcę ją poznać.

— A pani mu odpowiedziała...

— Że zapewne byłabym od niej otrzymała to, czego mu odmówiła, ale pan Morgan zauważył, że się łudzę w tym względzie.

— Czy w czasie tego spotkania, miss Darnell, oskarżony nie ofiarował pani klejnotu?

— Tak.

— Zechciej pani bliżej go określić.

— Był to pierścień z dyamentem.

— Czy pani go przyjęła?

— Nie, panie prokuratorze.

— Dlaczego?

— Zdawało mi się, że, przyjmując go, wiążę się już na zawsze formalną obietnicą, do czego nie byłam jeszcze zdecydowaną.

— Co mu pani powiedziała, dając tę odmowę?

— Nie przypominam sobie.

Powołując się jednak na wiadomość, udzieloną przez Sally Perkins Hickory'emu, prokurator zapytał:

— Czy nie prosiła go pani o zaczekanie do dnia następnego?

— Tak! Zdaje mi się, że coś podobnego powiedziałam. odparła niechętnie miss Darnell.

Pan Ferris przypomniał sobie znowu zwierzenia Sally Parkins i zapytał, kładąc nacisk na każde słowo:

— Czy nie prosiła go pani o zaczekanie do dnia następnego?

— Tak! Zdaje mi się, że tak powiedziałam — odrzekła po namyśle młoda dziewczyna.

— A kiedy oskarżony zapytał: — ciągnął dalej prokurator — „Dlaczego każesz mi czekać do jutra?“ Czy nie odrzekła pani: „Zdarza się często, że rzeczy z dnia na dzień wielkiej ulegają zmianie.“

— Rzeczywiście, pan ma słuszność.

— Wymawiając te słowa, miss Darnell, o czem pani myślała?

— Protestuję przeciw temu zapytaniu! — zawołał pan Ormond na znak, dany mu przez oskarżonego.

— Uważam, że to zapytanie jest zupełnie prawne — zauważył pan Ferris.

Pan Ormond jednak upierał się tak stanowczo przy swojem zapatrywaniu, że sąd był zmuszony pytanie to odrzucić. Pan Ferris zamierzał więc je podać w innej całkiem formie, kiedy niespodziewanie odezwał się donośny, spokojny głos miss Darnell.

— Sądzę, że bezowocnem jest dyskutować nad legalnością zapytania, na które jestem gotowa odpowiedzieć. Zamierzałam sama udać się do pani Clemmens, aby skłonić ją do odwołania swojej odmowy, wyznając jej, jak bardzo jestem interesowaną w sprawie jej siostrzeńca.

Spokojna powaga i widoczna szczerość tej odpowiedzi silnie wzruszyła sędziów. Nawet pan Ormond, który brwi ściągnął z rozdrażnieniem, w chwili, kiedy młoda dziewczyna zaczęła mówić, zwrócił się teraz do swojego klienta ze swobodnym uśmiechem.

Jednakże Byrd, który dla przyczyn, jemu tylko wiadomych, nie spuszczał z oka oskarżonego, zauważył, że tenże odpowiedział na uśmiech swojego obrońcy spojrzeniem pełnem ironii i pogardy.

Pan Ferris, zadowolony bardzo z tego wyjaśnienia, danego dobrowolnie przez miss Darnell, którem broniła się oczywiście przed przypuszczalnem współnictwem z narzeczonym, przeszedł natychmiast do następnego pytania:

— Mówiła pani, miss Darnell, że pierścień ten oddała pani oskarżonemu.

— Tak jest.

— I utrzymuje pani, że on go odebrał. Czy widziała go pani w jego ręce?

— Nie.

— A więc?

— Nie taki był przebieg tego, jak pan sądzi. Ponieważ pan Morgan nie chciał go odebrać, wsunęłam go do jednej z jego kieszeni.

Na te słowa Morgan i jego obrońca równocześnie podnieśli głowy, a Hickory trącił łokciem swojego sąsiada.

— Czy pan słyszał? — szepnął cicho.

— Tak — odpowiedział również szeptem detektyw.

— Czy pan myśli, że ona powiedziała prawdę?

— Złożyła przecież przedtem przysięgę.

— A mnie się zdaje, że nie we wszystkiem wierzyć jej można.

Byrd niecierpliwie wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

Prokurator tymczasem zwrócił się do sędziów przysięgłych, jak gdyby chcąc podkreślić ważność słów, wymówionych przez miss Darnell.

— Czy może nam pani powiedzieć — rzekł po chwili — do której kieszeni wsunęła pani pierścień?

— Do zewnętrznej lewej kieszeni płaszcza — odpowiedziała młoda dziewczyna z naciskiem.

Odpowiedź ta wywołała raz jeszcze ironiczny uśmiech oskarżonego, podchwycony natychmiast przez Byrda.

— Czy może pani przypuszczać — badał dalej pan Ferris — że oskarżony wyjął ten pierścień z kieszeni jeszcze podczas rozmowy z panią?

— Nie.

— Więc sądzi pani, że go miał ze sobą w chwili waszego rozstania?

— Oczywiście.

— Czy pani, miss Darnell, widziała później jeszcze ten pierścień?

— Tak, widziałam go.

— Gdzie i kiedy?

— Zaraz nazajutrz, na dywanie, w pokoju jadalnym pani Clemmens. Jakiś pan podniósł go, żeby mi go podać.

— Czy pani stanowczo twierdzi, że to był ten sam pierścień?

— Ten sam.

— Mogła się pani pomylić?

— Nie mogło być pomyłki w tym względzie. Oprawa jego nie była zwyczajna i musiała mimowoli zwrócić uwagę.

— Co pani powiedziała, miss Darnell, kiedy za pytano panią, czy pierścień jest pani własnością?

— Odpowiedziałam, że tak jest rzeczywiście i wsunęłam go na palec.

— Jednakże on nie należał do pani?

— Skoro chciałam go przyjąć, to był już moim.

Pan Ferris długiem spojrzeniem objął młodą dziewczynę, chcąc jej zwrócić uwagę na ważność tego argumentu.

— Myślała więc pani — podjął po chwili obojętnie — że byłoby rzeczą kompromitującą dla oskarżonego przyznać, że pierścień przedtem był jego własnością?

— Protestuję! — zawołał żywo obrońca.

— Nie nalegam — odparł spokojnie pan Ferris, zwracając się do sędziów przysięgłych.

— To było pytanie tendencyjne, którego nie miał pan prawa zadawać! — zawołał z porywem pan Ormond.

— Może pan ma słuszność — rzucił flegmatycznie prokurator. — Panowie przysięgli to ocenią.

— Nikt nie może ocenić podobnego sposobu nadużywania sytuacyi — wyrzekł zimno adwokat.

Pan Ferris uczynił małą przerwę, chcąc nawiązać przerwany bieg myśli przed zwróceniem się z nowem pytaniem do świadka:

— Czy pani ma jeszcze ten pierścień, miss Darnell? Nie widzę go na ręce pani?

— Nie, panie prokuratorze, nie mam go już — odparła młoda dziewczyna z wysiłkiem.

— Ach! A cóż pani z nim uczyniła?

— Przechodząc przez most na Warren-Street, wrzuciłam go do wody — odpowiedziała miss Darnell, zniżając głowę.

Szmer lekki przebiegł po sali. Wszyscy obecni odczuli ważność tego zeznania.

Pan Ferris usiadł, zupełnie zadowolony z rezultatu, do którego doszedł, wykazując podejrzenia, jakie miała miss Darnell względem oskarżonego. — Okoliczność ta musiała wywrzeć silny wpływ na umysłach sędziów przysięgłych.

Prokurator przygotowany był, że obrońca Morgana zechce teraz z kolei badać miss Darnell i wziąć ją w krzyżowy ogień pytań i nie obawiał się tego. Wiedział już bowiem teraz, że nic na świecie nie może zmienić przekonania obecnych, rozumiejących, że młoda dziewczyna, pomimo miłości swojej do siostrzeńca pani Clemmens, wierzy niezbicie w jego winę.

Ku ogólnemu zdziwieniu jednak, pan Ormond, porozumiawszy się przez chwilę z oskarżonym, oznajmił, że odstępuje od prawa badania świadka.

— Byrd! — szepnął Hickory, podczas kiedy Beatrycza Darnell powracała niepewnym krokiem na swoje miejsce — Czy pan rozumie co z tego wszystkiego? Spodziewałem się, że obrońca będzie silnie nalegał i odrzucał słabe punkty tego obarczającego zeznania. Czyżby pan Ormond był tak rozkochany w tej dziewczynie, że pozwoli spokojnie na zasądzenie swojego rywala?

— Och! Nigdy w życiu! — zaprotestował żywo Byrd — Pan Ormond nie jest człowiekiem, który dla pięknych oczu kobiety zgodzi się dobrowolnie na przegranie sprawy. Tylko, że on, jestem pewny, zapatruje się inaczej na rzecz całą, niż pan, kochany Hickory. Zamiast wierzyć, że miss Darnell skłamała, jest przekonany, że właśnie powiedziała prawdę.

— W takim razie żałuję bardzo Morgana. Źle zrobił, powierzając swoją obronę temu człowiekowi.

Trzeba dodać, że prezydent, sędziowie przysięgli i publiczność byli zgodnie zdania detektywa. — Wszyscy byli przekonani, że klient pana Ormonda znajdował się w bardzo niebezpiecznej sytuacyi.

System obrony.

Przesłuchanie świadków przeciągnęło się do popołudnia. Cały przebieg oskarżenia postawiony był na podstawach nie dających się niczem obalić. Pomimo dobrego wrażenia, jakie Cyryl Morgan uczynił na wszystkich umysłach, zebrane zeznania przeciw niemu były tak obciążające, że nikt nie zdziwił się, gdy w pewnej chwili rozległ się na sali głos jednego ze sędziów:

— Pan Ormond chyba za przyczyną jakiego cudu będzie mógł obalić podobne oskarżenie!

To też można było usłyszeć szmer muchy, przelatującej po sali, kiedy pan Ormond zaczął się przygotowywać do wygłoszenia swojej obrony.

Spokojna pewność i wiara w swoją siłę, widniejąca w twarzy adwokata, broniącego oskarżonego, ożywiła cokolwiek nadzieję zwolenników młodego człowieka.

Pan Ormond powstał i składając w stronę prezydenta ukłon pełny godności, zaczął silnym i spokojnym głosem:

— Przedewszystkiem za zgodą Sądu nie będziemy rozpatrywać wartości zeznań, nagromadzonych przez oskarżenie w tak zręczny sposób.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z tygodnia.

Rada Stanu wobec odezwy rządu rosyjskiego do Polaków.

Rada Stanu w Warszawie uchwaliła następującą odpowiedź na znaną odezwę rewolucyjnego rządu rosyjskiego do Polaków:

Wojna europejska wysunęła na widownię świata sprawę polską, jako wielkie zagadnienie polityki międzynarodowej. Naród nasz odczuł, że ziścić się mogą jego odwieczne pragnienia, a ofiarny udział Legionów, stających samorzutnie do boju o niepodległość Polski, był żywym tych pragnień wyrazem.

Sprawę polską rozwiązać mogło jedynie utworzenie państwa polskiego. Zrozumiały tę konieczność dziejową najpierw rządy mocarstw centralnych. — Akt z dnia 5 go listopada powołał do życia Niepodległe Państwo Polskie, acz nie określił jeszcze jego granic terytoryalnych.

Obecnie i tymczasowy rząd rosyjski uznaje niepodległość naszej Ojczyzny, stwierdzając w ten sposób, że zmycie krwawej plamy niewoli, hańbiącej od wieku Europę, stanowi dziejową nieodzowną konieczność. Ale nowa władza rosyjska ofiaruje Polakom ziemie, które nie podlegają jej władztwu, określenie granic Państwa Polskiego przekazuje konstytuancie, a nadto przewiduje łączność militarną państw obu. — Wszelkie przymusowo narzucone nam warunki ograniczają istotę niepodległości i nie odpowiadają honorowi wolnego narodu.

Tymczasowa Rada Stanu wita błysk wolności, jaki rozświetlił mroki olbrzymiego grobu niewoli wszystkich ludów, rozległe przestrzenie państwa rosyjskiego zamieszkujących. Z zadowoleniem również stwierdza fakt uznania przez nowy rząd rosyjski zasady niepodległości Polski. Ale jednocześnie podkreśla, że wiekowy spór polsko rosyjski o rozległe kraje, leżące pomiędzy etnograficzną Polską a Rosyą, ale należące przez wieki do Polski, nie został zakończony.

Załatwienia tej sprawy nie możemy pozostawiać dowolnej decyzyi konstytuanty rosyjskiej. Los tych krajów musi być rozstrzygnięty w myśl państwowych interesów niezawisłej Polski, przy uwzględnieniu woli zamieszkujących kraj ludów.

Tymczasowa Rada Stanu widzi jasno swe cele: monarchia konstytucyjna, silny rząd, liczne wojsko; oto zadania, które rozwiązać mamy.

Z państwem rosyjskiem chcemy w przyszłości utrzymać dobre sąsiedzkie stosunki, musimy jednakże zastrzedz się przeciwko wszelkiemu podsuwaniu myśli prowadzenia wojny przeciwko mocarstwom centralnym, których monarchowie zagwarantowali naszą niezawisłość.

Nie długiej wojny, lecz pokoju pragną krew przelewające narody Europy.

Zapowiedziane aktem z dnia 5. listopada 1916 r., a obecnie przez rząd nowo odżywającej Rosyi uznane niezawisłe państwo polskie tworzyć ma podstawę dla rozpoczęcia rokowań pokojowych i dla utrwalenia na przyszłość normalnych warunków życia w Europie.

W obronie Polaków galicyjskich i poznańskich w Rosyi.

Jak donoszą ze Sztokholmu do pism codziennych, opublikowano w Rosyi następujący list otwarty:

W obecnej uroczystej chwili, kiedy rosyjski rząd narodowy pierwszem swojem zadaniem uczynił wyswobodzenie wszystkich ofiar starego systemu rządów, za obowiązek swój uważamy podnieść głos w obronie kroci naszych braci Polaków rosyjskich, austryackich i niemieckich poddanych, męczących się pod dozorem policyi na zesłaniu w mniej lub więcej oddalonych miejscowościach Rosyi Europejskiej i Sybiru.

Wielu z nich mieszkało przed wojną w Królestwie Polskiem i Rosyi, nie mając w gruncie rzeczy żadnej styczności z rządami państw, których byli poddanymi. Inni zostali w granicach państwa rosyjskiego zaskoczeni przez wojnę przypadkowo lub uprowadzeni przez cofające się z Galicyi i Prus Wschodnich wojska rosyjskie, a byli i tacy, co z ziem tych uchodzili dobrowolnie do Rosyi.

Z pośród tych wszystkich tysiące całe znalazły się na zesłaniu bez żadnego nawet podejrzenia o nieprawomyślność. Niektórych władze wojskowe i administracyjne zesłały pod zarzutem nieprzyjaznego stosunku do armii rosyjskiej — zarzutem niczem nie potwierdzonym i przez nikogo nie zbadanym. Przeciwko tym ludziom, w większości wypadków, nie było wytoczone nawet oskarżenie sądowe, w niektórych zaś wypadkach uniewinnieni wyrokami sądu niemniej zostali zesłani.

Wreszcie zakładnicy, wzięci w celu zapewnienia porządku i spokoju w krajach okupowanych z pośród ludzi znanych i cieszących się zaufaniem ludności miejscowej, w wielu wypadkach zostali zesłani etapem do odległych miejscowości i poddani dozorowi policyjnemu w miejscu przymusowego ich zamieszkania.

Brzask wolności, który oświeca nową kartę historyi narodu rosyjskiego, nie byłby zupełny, gdyby nie objął tych wszystkich niewinnych ofiar starego systemu rządów.

Mając na uwadze, że cierpienia, które w ciągu wojny stały się udziałem naszych rodaków, znajdują się w krzyczącej sprzeczności z ustalającemi się obecnie i będącemi podstawą przyszłości stosunkami obydwu narodów, Rada Zjazdów Polskich Organizacyj P. O. W. pozwala sobie wyrazić nadzieję, że pierwszy Rosyjski Rząd Narodowy uzna za możliwe:

1) Znieść w stosunku do Polaków wszelkie postanowienia, ograniczające prawa poddanych państw wojujących z Rosyą.

2) Uwolnić zesłanych przez władze administracyjne i wojskowe poddanych rosyjskich, oraz poddanych austryackich i niemieckich narodowości polskiej, przeciwko którym nie wytoczono dochodzenia sądowego, lub którzy z wyroku sądu zostali uniewinnieni, tudzież zezwolić im na swobodne przemieszkiwanie w granicach państwa.

3) Zapewnić zakładnikom Polakom, poddanym austryackim i niemieckim, wolny wybór miejsca zamieszkiwania przy jednoczesnem uwolnieniu ich od dozoru policyjnego, oraz zezwolić na powrót do kraju w tych wypadkach, gdy temu nie staną na przeszkodzie względy natury wojennej.

Wiceprezes Rady Zjazdów Polskich Organizacyj P. O. W. J. Zdziechowski. Główny pełnomocnik Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego Wł. Grabski. Prezes Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom wojny. St. Łopaciński.

Garnizon petersburski za niepodległością Polski.

Jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne, podczas zgromadzenia, zwołanego przez stronnictwo „Ojczyzna i armia narodowa“, przedstawiciele garnizonu petersburskiego uchwalili zakomunikować stałemu Komitetowi delegatów robotniczych i żołnierzy następującą rezolucyę, którą równocześnie wręczono prowizorycznemu rządowi:

„Dalsze prowadzenie wojny aż do zabezpieczenia wolności, zdobytej przez lud i wojsko. Prowadzenie wojny aż do zwycięskiego końca, ponieważ armia jest świadomą, że nawet pokój, przywracający dawne granice, pokój bez zgody sojuszników, byłby haniebnym pokojem, zagrażającym nowej wolności Rosyi, przedstawiającym się jako próba zdrady, która oddzieliłaby nas od wolnej Anglii, republikańskiej Francyi, Belgii, Serbii, Czarnogóry i Rumunii, które dla sprawy przyjaciół narażone były na spustoszenie i wobec których taki pokój oznaczałby złamanie słowa i naszej uroczystej przysięgi.

Dalej **przywrócenie wolnej Polski, obejmującej obszary Niemiec i Rosyi.**

Dla osiągnięcia tych celów zgromadzenie stawia następujące żadania wobec Komitetu delegatów robotników i żołnierzy:

Komitet ma całą siłą popierać rząd, jak długo ten rząd przestrzega interesów ludu i okazuje się zdolnym do przywrócenia w obecnej chwili nieodzownego porządku. Komitet ma urzeczywistnić wszelkie żądania rządu prowizorycznego w jego charakterze jako jedynego organu, któremu kraj i armia złożyły przysięgę wierności. Komitet ma nadto załagodzić wszelkie różnice zapatrywań w łonie robotników, jakoteż różnice zapatrywań personalu i technicznego kierownictwa fabryk i zakładów, ponieważ dezorganizacya przemysłu grozi klęską armii. Komitet przedłożyć ma swe gospodarcze żądania komisyi rzeczoznawców, nie wstrzymując jakiejkolwiek pracy, koniecznej dla obrony kraju, przeciwnie, mą ją popierać dla osiągnięcia wzmożenia się wydatności pracy i odroczyć urzeczywistnienie ośmiogodzinnego dnia pracy.

Dalej, odnośnie do żołnierzy i oficerów: Wytężyć należy wszelkie siły dla poparcia przygotowań do walki. Wolni od trosk żołnierze mają przywrócić wszelką dyscyplinę na podstawie nowego porządku demokratycznego i nigdy nie zapominać, że tylko dyscypliną złączona armia przedstawia niebezpieczeństwo dla nieprzyjaciela, a nie walka uzbrojonego ludu. Wierne dochowanie złożonej prowizorycznemu rządowi przysięgi i ścisłe podporządkowanie się komendantom, jest świętym obowiązkiem żołnierzy wszelkich stopni. Żołnierze muszą okazywać oficerom pełne zaufanie.“

Deklaracya rządu austro-węg. w sprawie pokoju.

C. k. Biuro korespondencyjne upoważnione jest do następującego oświadczenia:

„Rząd austro-węgierskiej monarchii otrzymał wiadomość o ogłoszonem dnia 11. kwietnia b. r. oświadczeniu tymczasowego rządu rosyjskiego i dowiedział się z niego, że Rosya nie ma zamiaru „opanowywać innych narodów, pozbawiać ich narodowej spuścizny i przemocą obsadzać obcych obszarów, że owszem pragnie ona sprowadzić trwały pokój na podstawie prawa narodów postanawiania o swoim losie“.

Rząd austro-węgierski dowiedział się z tego, że tymczasowy rząd rosyjski pragnie osiągnąć cel, który zgadza się z celem, jaki c. i k. minister spraw zagranicznych w swoim wywiadzie, zakomunikowanym dnia 31. marca b. r., podał jako cel wojenny Austro-Węgier. Można więc stwierdzić, że rząd austro-węgierski i tymczasowy rząd rosyjski dążą w równy sposób do pełnego honoru dla obu stron pokoju — pokoju, który, jak powiedziane jest w propozycyi pokojowej Austro-Węgier i ich sprzymierzeńców, z 12. grudnia r. z., zapewnia byt, godność i możność rozwoju państwom wojującym. — Wyrażone wówczas przekonanie sprzymierzonych, że ich prawa i uzasadnione pretensye dadzą się niewątpliwie pogodzić z prawami i pretensyami innych narodów, dziś, po oświadczeniu tymczasowego rządu rosyjskiego, istnieje w spotęgowanej mierze. Ponieważ przez to całemu światu, a zwłaszcza ludom Rosyi, jasno uprzytomniono, że Rosya nie jest już więcej zmuszona walczyć o obronę i o wolność swoich ludów, wobec równości celów rządów sprzymierzonych i tymczasowego rządu Rosyi, nie będzie rzeczą trudną znaleźć drogę do porozumienia, tem bardziej, że Jego Cesarska Mość, cesarz Austryi i apostolski król Węgier, zgodnie ze sprzymierzonymi z nim monarchami, żywi pragnienie, by w przyszłości żyć w spokoju i przyjaźni z narodem rosyjskim, którego wewnętrzne i zewnętrzne warunki życiowe są zapewnione i który jest z nich zadowolony.“

Kronika tygodniowa.

Według zapowiedzi, dziś dopiero złożyć mogę sprawozdanie, jak spędziłem święta. Jak zaś, łatwo się każdy domyśli i dośpiewa sobie w duszy: „Pod psem!"... I nie pomyli się bynajmniej, gdyż tak było w samej rzeczy.

Wielka Niedziela, pierwszy dzień świąt, przypominała raczej Wielki Piątek, taka cisza, głucha pustka i do tego post, wprawdzie nie kościelny ani urzędowy, ale z dobrej woli, raczej z konieczności. Do wzbudzenia tem smutniejszego nastroju przyczyniła się nadto fatalna pogoda. Na przemian deszcz ze śniegiem, sam deszcz, potem znów śnieg, a do tego wiatr, o którym u nas dawniej się mówiło, „iż się dyabeł żeni". Jednem słowem, aura taka, że żal człowiekowi psa za drzwi wypędzić. Siedziało się też w domu i rozmyślało o dawnych, lepszych czasach, chwaląc domyślność kronikarza, który właśnie taką, a nie inną pogodę przepowiedział. Klął też każdy na meteorologów i astronomów, im winę przypisując, aż musiała się ująć za nimi *Nowa Reforma* i ogłosić artykuł, w którym autor dowodzi, iż nikt gniewać się nie powinien, gdyż śnieg w kwietniu nie jest niczem dziwnem, zwłaszcza, że już ojcowie nasi mawiali: „Kwiecień — plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata..." Popołudniu wypogodziło się nieco, śnieg zniknął sam, bez łaskawej pomocy Zakładu czyszczenia miasta, ludzie zaczęli wystawiać nosy na świeże powietrze, ale je wnet chowali napowrót. Nie opłaciło się zresztą wychodzić, gdyż błoto jeszcze nie wyschło, a lokale, gdzie można było wypocząć, pozamykane z powodu przypadających równocześnie świąt katolickich i żydowskich. Jeśli przypadkowo zapukałeś do drzwi znajomych sobie ludzi, albo nikt nie otworzył, co jest zwykle najpewniejszym znakiem, iż nikogo w domu niema, albo wyszła służąca i oznajmiła:

— Państwo kazali powiedzieć, że ich w domu niema!... Wyszli z wizytą do rodziny i nie wiadomo kiedy wrócą...

W teatrach i kinach, tak tych, w których się grzecznie z publicznością obchodzą, jak i owych, gdzie się ją za drzwi wypycha, pełno było zato ciekawych, ale też i na tem koniec.

Przemysłowcy i kupcy, którzy w świątalnym czasie najlepsze dawniej robili interesy, więc przedewszystkiem masarze, winiarze, cukiernicy, wódczarze i t. p. narzekają gorzko na ogólny zastój. Zwłaszcza masarzom zostało dużo szynek i innych wędlin, na które tego roku z powodu cen wygórowanych nie było absolutnie popytu. Jadło się, co było pod ręką, a jeśli nie było nic, to się łapę lizało, pragnienie można było ugasić wodą wodociągową, gdyż wyjątkowo w tym czasie nie pękła żadna rura, ani cieńsza, ani grubsza.

Poniedziałek, tak zwany „oblewany", miał to do siebie, iż akurat z nieba nie lało, wobec czego sporo osób wybrało się na Zwierzyniec „na Emaus". Ale i tu nie spotkałeś się nigdzie z staropolską cnotą gościnności. Jeżeliś kogo odwiedził, przyjął cię zimno, narzekając tylko gorąco na fatalne czasy, co miało znaczyć tyle, iż niczem cię poczęstować nie może!... Pod wpływem wojny i jej następstw zmienili się ludziska nie do poznania. Nawet na trąbki, dzwonki i piszczałki nie było tylu amatorów, co dawniej. Płeć piękna zjawiła się w daleko mniejszej liczbie, niż po inne lata, nie miał jej bowiem kto towarzyszyć, ani kto bawić, skoro większa część młodzieży w polu. Zresztą i pogoda nie była bardzo obiecująca, każdy patrzył co chwila na niebo, zastanawiając się, czy nań stamtąd co „nie kapnie".

We wtorek rozpoczyna się już zwykły tryb życia, kto ma przecież czas, ochotę i znajomych na Podgórzu, spieszy „na Rękawkę". Tego roku frekwencya była słaba, gdyż każdy, kto się w mieście zawiódł w niedzielę, na Zwierzyńcu w poniedziałek, wolał nie ryzykować we wtorek na Podgórzu, które ściśle już z nami połączone, tak samo, jak stary Kraków, myśli i postępuje. Powoli modernizujemy się i zatracamy tę dawną „patynę", z której jeszcze do niedawna słynął Kraków szeroko i daleko. Gdyby ktoś z naszych przodków wstał z grobu i chciał się przekonać, jak następcy szanują starodawne tradycye, z pewnością jeszcze prędzej powróciłby na cmentarz i poprosił, by go nie budzono, chyba dopiero na Sąd ostateczny, czyli ów ostatni jeneralny musterunek żywych i umarłych.

Kronikarz, o ile to jego dotyczy, spędził święta mniej więcej tak samo, jak i reszta rozszerzonych Krakowian, to jest o głodzie i chłodzie i nie mając czem ugasić pragnienia, a bojąc się użyć w tym celu wody, by jej dla innych nie brakło. Nie narzeka przecież zbytnio, znalazły się bowiem dwie szlachetne dusze — jedna w niedzielę, druga w poniedziałek — które go zaprosiły na święcone jajko i szyneczkę, za co im na tem miejscu składa z serca płynące podziękowanie, polecając się na przyszłość i żałując, iż nazwisk ich nie może (by nie obrazić ich skromności) podać do wiadomości ogółu i postawić innym, jako wzór cnót obywatelskich. Był jeszcze i trzeci, ale ten się wygodnie urządził, zaprosił bowiem kronikarza do siebie na piwo, a potem o zaproszeniu zapomniał i sam je wypił. . Oby mu tylko wyszło na zdrowie!

Wycieczek nie robiło się tego roku ani na „Emaus", ani na „Rękawkę", tu i tam bowiem należałoby jechać szerokotorowym tramwajem, co jest obecnie połączone z wielkiem niebezpieczeństwem, zwłaszcza od czasu, gdy miejsce mężczyzn zajęły przy aparacie panie motorowe. Niewiasty owe, tak sobie lekceważą życie i zdrowie tych, którzy jadą tramwajami i tych, którzy nimi nie jadą, lecz tylko przechodzą ulicą, że doprawdy dziwić się trzeba, iż tak mało dotąd notują kroniki policyjne wypadków przejechania. Bo i cóż to jest na Wielki Kraków i do tego przy damskiej obsłudze jeden lub dwa tygodniowo?... Nic!

Kilka tygodni temu miałem ochotę zająć się tą sprawą, brak jednak miejsca stanął mi wówczas na przeszkodzie, dziś wspominam o tem ze względu na dwa wypadki przejechania w ulicy Sławkowskiej i zabicia chłopca na Półwsiu Zwierzynieckiem. Kto ponosi winę, w to nie wchodzę, przytoczę tylko opowiadania dwu mych znajomych, którzy częściej jeżdżą tramwajami. Że obaj powiedzieli prawdę, nie wątpię, obaj są bowiem obywatelami „pierwszej klasy", jak się to u nas mówi, jeden ma nawet kamienicę, a drugi mógłby także mieć, gdyby tylko chciał.

Udzielam im głosu według porządku chronologicznego.

Pierwszy pan, nazwijmy go X., chorował swojego czasu na zapalenie stawów, nie mógł więc skakać, niczem młody wróbel. Jadąc tramwajem w stronę mieszkania, prosił panią konduktorkę, by zechciała zatrzymać wóz na przystanku, tak zwanym „w razie potrzeby", skąd mu było najbliżej do domu. Ale pani konduktorka, będąc zajętą czem innem, zapomniała o prośbie, gdy zaś pan X. na końcowej stacyi robił jej z tego powodu wyrzuty, usłyszał z ust pani motorowej w niezbyt uprzejmym tonie wypowiedziane słowa:

— Widzisz! Pewnie chciałby dziad zająć twoje miejsce, bo nie ma co żreć!

Na takie *dictum acerbum*, czując się niem słusznie oburzonym, pan X. zwrócił uwagę uprzejmej niewieście, iż niczem nie zasłużył sobie na podobne traktowanie, zaznaczając, że zwróci się ze skargą do Dyrekcyi. W tym celu wgramolił się znowu na wóz, by się z powrotem dostać do miasta i najspokojniej stanął sobie na platformie poza panią motorową, która już tylko pod nosem dawała jeszcze folgę swemu niezadowoleniu i zdenerwowaniu. Wóz ruszył, ona jeszcze mruczała, pan X. milczał, co ją wyprowadziło już całkowicie z umysłowej równowagi. Najpierw chciała swego rzekomego prześladowcę poczęstować korbą od aparatu, ale się uchylił, potem zatrzymała wóz i wezwała posterunek policyjny, żądając aresztowania pasażera, który rzekomo „przeszkadza jej w należytem wypełnianiu swego obowiązku"... zastrzegam się, iż tylko tem, że stoi, milcząc, tuż poza nią. Policyant żądania nie spełnił, pan X. wniósł skargę do Dyrekcyi i uzyskał od niej satysfakcyę, odtąd jednak rzadko używa tramwaju, częściej chodząc piechotą, by nie być narażonym na podobne przyjemności, jak owo zajście z zdenerwowaną motorową.

Pan Y. natomiast sam bezpośrednio nie miał sposobności wejścia w konflikt z żeńskim personalem tramwajowym, jadąc przecież kiedyś, nie mógł dłużej wytrzymać, widząc, że pani motorowa ma obok siebie z jednej strony jakąś przyjaciółkę i zabawia się z nią rozmową, z drugiej zaś strony garnek z kawą, z którego od czasu do czasu popija, nie troszcząc się wcale o to, co się przed nią dzieje na ulicy... A wóz pędził bez względu na skręty i ruch uliczny. Wstał więc, podszedł do pani motorowej i rzekł:

— Na miłość Boską! Skończ pani już raz tę rozmowę, bo jeszcze wszyscy pokręcimy sobie karki, a ja, przyznam się, nie mam do tego ochoty!

— A co panu do tego! — odparła gniewnie — Proszę mi się nie mieszać do urzędowania!... Zresztą, co ja mam z panem gadać!...

I rozpoczęła z przyjaciółką znowu ożywioną pogawędkę, obrzucając od czasu do czasu pana Y. jadowitym wzrokiem. Ale on nie uląkł się, dojechał do domu, a wysiadłszy, gorąco podziękował Bogu, że jeszcze cały i przysiągł sobie, że już więcej nie pojedzie tramwajem, chyba, że miejsce kobiet zajmą znowu mężczyźni.

Te dwa wyżej zacytowane wypadki, za których prawdziwość ręczę i ja i ci, którzy mi o tem opowiadali, tłumaczą w dosadny sposób, co jest przyczyną różnych nieszczęśliwych wypadków. Taka pani, mająca w swem ręku w chwili „swego urzędowania" zdrowie i życie kilkudziesięciu osób, właśnie wtedy myśli o wszystkiem innem, tylko nie o swej służbie i stąd te wypadki, które nieraz drogo kosztują Zarząd, mający jak najlepsze chęci, ale muszący na każdym kroku walczyć z brakiem męskich rąk do pracy i przyznający, że żeńska ręka nigdy męskiej nie zastąpi!... Zrobi niewiasta głupstwo i spotka się za to z naganą lub karą, leje łzy lub, co również często się zdarza, jeszcze się gniewa, twierdząc, że „dzieje się jej krzywda, a nie ma nikogo, ktoby się ujął za słabą niewiastą!"... Twierdzą również, iż ogłoszenie: „Motorowemu rozmawiać nie wolno"... — odnosi się tylko do mężczyzn, nie zaś do kobiet.

Widuje się jeszcze motorowych rodzaju męskiego, ale przeważnie tylko na liniach wązkotorowych, ba, widziałem raz nawet żywego konduktora, którego sobie ludzie, odwykli już od tego widoku, palcem pokazywali. Gdy słyszę więc o nowym wypadku, spowodowanym nieostrożną jazdą, pytam, dlaczego obowiązków motorowych na liniach szerokotorowych, gdzie ruch jest daleko szybszy, nie powierza się osobnikom rodzaju męskiego, ale dowiaduję się zawsze, że wozy starego systemu tak są zdezelowane, iż kobieta nie dałaby sobie z nimi rady. Do tego potrzebny jest mężczyzna, natomiast kierowanie wozem na linii szerokotorowej nie przedstawia żadnych trudności, wobec czego funkcye motorowych mogą pełnić i niewiasty.

Zarząd tramwajów winy w tym wypadku nie ponosi, winną jest jedynie wojna, która wszystko do góry nogami wywróciła i powoli stara się zamienić świat w „rzeczpospolitą babińską", w której jedynie niewiasty będą mogły głos zabierać, a mężczyźni będą tylko cierpiani, jako złe konieczne. U nas na razie zagospodarowały się na dobre dopiero w tramwaju, ale też widzimy, jak on na tem wychodzi. Ale cóż robić! Lepiej, że bodaj tak jest, niż miałby być ruch zupełnie zastanowiony...

Wiosna zresztą się zbliża (w kalendarzu już jest, zimno przecież ciągle), można więc chodzić piechotą. Formalności, z jakiemi połączone jest uzyskanie pozwolenia na stały pobyt w Krakowie, podobno już ukończone, wjazdowej jej do miasta nic też nie stoi na przeszkodzie. Jedna tylko *„Nowa Reforma"* nie jest z niej zadowoloną, jak to wnoszę z artykułu, zatytułowanego „Znowu wiosna", gdy ja byłbym raczej napisał: „Nareszcie wiosna". Ale, czy to dogodzi każdemu?... Jeden woli grzebień, drugi co innego. To jest pewne, że przyleciały do nas już bociany (sam widziałem ostatni numer *Bociana* z dnia 15. kwietnia!). Z powrotu ich cieszą się najbardziej owe niewiasty, które dopomagają młodemu pokoleniu w chwili pierwszego oglądania światła dziennego i z tego czerpią swe dochody. Pojawiają się i muchy, z czego znów ja się nie cieszę, nie lubię bowiem, gdy figle wyprawiają na mej łysinie, są też i komary. Obserwowałem jedną sztukę, robiącą na oknie redakcyjnem tualetę, po zbudzeniu się ze snu zimowego. Wobec tego mój zimowy paltot w najbliższym już czasie powędruje do szafy, lub do Zakładu zastawniczego, co zależnem będzie od tego, jak się ułożą stosunki i jakie będą „konjunktury finansowe" w najbliższej przyszłości.

Oby jak najlepsze!... Tak życzę sobie, ale równocześnie nie wierzę w to, by się to pobożne życzenie mogło rychło spełnić, stoi bowiem w ścisłym związku z końcem wojny, a ten przedstawia się nam coraz to inaczej i odkładanym bywa na rozmaite czasy. Zwłaszcza teraz należy wątpić w rychły koniec po ogłoszeniu amerykańskiego programu wojennego, który powiada:

„Użycie okrętów we wspólnej akcyi ze sprzymierzonymi, dostarczenie amunicyi, zaliczka trzech miliardów dolarów dla sprzymierzeńców, których zaprowiantowanie ma być również zapewnionem, wyćwiczenie jednego miliona żołnierzy w pierwszym roku, drugiego w drugim".

Zwłaszcza ten ostatni punkt bardzo mi się nie podoba! Z początku sądziliśmy, że wojna skończy się w pierwszym roku przed zimą, potem zgodziliśmy się na zapowiedź ś. p. lorda Kitchenera, że potrwa co najmniej trzy lata (a te już się kończą!...), teraz znów Ameryka rozkłada swe przygotowania na tak długi czas, jak gdyby nie wiedziała o przepowiedniach pani de Thébes, że wszystko ma się skończyć jeszcze w tym roku i to przed jesienią.

Zdaje mi się, że trzeba powoli kończyć, zwłaszcza, że niniejsza kronika pojawi się już według czasu letniego, więc o godzinę wcześniej, niż poprzednia, drukarnia jest więc usprawiedliwioną, żądając wcześniej rękopisu.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Roślina *pierwsze-drugie* w gastronomii znana,
Pierwsze wraz z trzecim widać, jak się myją zrana,
Drugie jest to przyimek w łacińskim języku,
Trzecie polski zaimek. *Całości* bez liku
Na pocztach się znajduje O! Ważne zadanie
Posiadają, a każdy, kiedy je dostanie,
Myśląc, co będzie wewnątrz, ciekaw, patrzy na nie.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Znaleźć tytuły utworów niżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko współczesnego austryackiego jenerała.

Krechowiecki?
Krechowiecki?
Sofokles?
Wroczyński?
Sofokles?
Wyspiański?
Wyspiański?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A byk z kanią żre kamyki. E!

Trójkąt magiczny.
Ułożył H. M., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miasta w Hiszpanii.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Wojownicza kobieta. 3. Termin zoologiczny. 4. Bogini urodzajów. 5. Kraj w Afryce. 6. Zwierzę przeżuwające. 7. Rzeka w Rosyi. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A cesarz kupi kurę i bicz. I.

Okienko.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a
a c c d g
g m r
r t t y y

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Stopień w hierarchii urzędniczej. 3. Imię żeńskie.

Zadanie konikowe.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.
(Z „Dumek“ J. B. Zaleskiego).

two	kra	decz	taj	wim	ra	dum	nie
ne	tu	ptac	wim	je	dłu	ba	żó
sno	sar	hej	goć	za	ki	rę	je
sa	ma	pió	wie	pło	och	ku	wiń
zwa	cie	ro	w mroź	re	się	mo	w gó
dzi	kra	rzy	wie	po	ne	roz	w szy
kwie	co	i	gór	po	tru	cie	go
ła	cią	zi	cie	je	za	nu	po
ma	liś	sio	gnie	ra	świś	wia	z po

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tran urwał fant Francyi, fant kąta i umarł.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko. Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Rybo! Cech zakłada belki, nie mody.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

FRYC ISO.

DYNSKY.

ZIWARIN.

O. D. SZCZYPA

D. IWO AZOW.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Łamigłówka:
Wór
len
los
moc
łut
sen
sąg
noc
ara
alt
mól
mer
los
mur
maj
bas

Logogryf:
Sofokles
Oaza
Konrad
Rymy
Amadeusz
Tamiza
Emir
Samolub

Kwadrat magiczny:
Ł u c k
u d a r
c a c a
k r a m

Zadanie do przestawienia: Fortuna kołem się toczy.

Trójkąt magiczny:
P e p a B a r t e ń
E u g e n i u s z
P o l i t u r a
A l f a b e t
B e l i n a
A g a t a
R a n a
T o r
O n
N

Zadanie do przestawienia: Niema złego, coby na dobre nie wyszło.

Zadanie królewskie: Stany Zjednoczone przed decyzyą.

Łamigłówka: 29 + 1 + 18 + 6 + 1 = 55 **Wanda.**

Bilety wizytowe: Stylista. Sukiennik. Asystentka. Wróżbiarka. Subjekt sklepowy

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gałuński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Seredu cka Tarnów, B. Weinoling, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E. Bogdańska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K. Gołąb Nowy Sącz, S. Roth Tarnów, E. Winter Tarnów. J. Sosenko poczta polowa 286 B. Książek Miejsce Piastowe, S. Woszczyna Tarnów, M. Dudek poczta pol. 286, E. Bogdalska Koropuż, Z. Szymanek Nowy Sącz, Z. Ruszkowska Noworadomsk.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **Z. Ruszkowska Noworadomsk.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal na koszta poleconej przesyłki.

Edykt licytacyjny.

Na wniosek Rozalii Isenbergowej jako strony egzekwującej, odbędzie się dnia 10 maja 1917 o godzinie 10 przedpołudniem, w biurze Nr. 44, II. piętro w tutejszym Sądzie przy ulicy św. Jana Nr. 22. licytacya realności lwh. 561 ks. gr. gm. Kraków, Dz. VIII., składającej się z parceli lkat. 370/6 obszaru 186·90 m. kw. na której stoi trzechpiętrowa kamienica.

Wartość szacunkowa tej realności 73.034 kor. 81 hal. Najniższa oferta 36 667 kor. 40 hal.

Do realności tej należą jako przynależności sześć spiżarek z drzwiami i półkami oszacowane na 300 kor.

Poniżej najniższej oferty sprzedaż nie nastąpi.

C. k. Sąd powiatowy cyw. Oddział XIV.

Kraków, dnia 12 marca 1917.

Właściciel i wydawca: Spadkobiercy St. Lisińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lisińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego